Cena 50 gr.
na prow. 60 gr.

Poczta uiszcz. ryczałt.

MÓJ PRZYJACIEL



ILUSTROWANE
CZASOPISMO
DLA MŁODZIEŻY

LUTY
1927

№ 1.

ROK IV.

Treść:

OD REDAKCJI.

Konieczność oczekiwania na wyniki prospektu i związanej z nim akcji proskrypcyjnej spowodowała opóźnienie numeru. Wydajemy więc numer połączony Styczniowo-Lutowy.

W wydawanej przez „Pomoc Szkolną“ serji „KORYFEUSZE SŁOWA POLSKIEGO W OŚWIETLENIU NAJCELNIEJSZYCH KRYTYKÓW“ ukazały się dotychczas prace poświęcone **Mickiewiczowi, Słowackiemu, Krasińskiemu, Malczewskiemu, Goszczyńskiemu, Zaleskiemu (szkoła ukraińska) Paskowi i Sienkiewiczowi.**

Zawierają one odpowiednio do programu szkolnego prawie wszystko, co napisano dotychczas w polskiej literaturze krytycznej o danym autorze i obejmują zarówno rozbiory wszystkich utworów, jak i charakterystyki osób, w tych utworach występujących.

Wśród autorów, których zgrupowano w tych zbiorkach, spotykamy tak głośne w Polsce nazwiska jak: **St. Tarnowskiego, P. Chmielowskiego, W. Bruchnalskiego, I. Matuszewskiego, K. Wojciechowskiego, St. Lama, J. Kleinera, W. Dzieduszyckiego.**

Książka, w tej postaci wydana, jest nieocenionem źródłem podręcznem zarówno dla nauczyciela jak ucznia, gdyż uwalnia go od żmudnej pracy wyszukiwania odpowiednich ustępów w dziełach krytyków literackich, dziełach obecnie już przeważnie wyczerpanych lub kosztownych.

Nie wątpimy więc, że wypisy te spotkają się z należytem uznaniem sfer nauczycielskich, jako źródło podręczne przy przechodzeniu literatury polskiej w szkołach średnich.

MÓJ PRZYJACIEL

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Warszawa — Luty 1927

Powstanie styczniowe.

Dnia 22 stycznia ubiega 64 rok od chwili, która uchodzi w historji za początek ostatniego zbrojnego powstania narodu polskiego, pragnącego wywalczyć sobie niepodległość. Święcenie tego rodzaju rocznic, tak podniosłe i manifestacyjnie wspaniałe w latach niewoli, dzisiaj, w okresie żmudnego zmagania się wyzwolonego narodu z trudami powszedniego życia straciło na żywiołowości i podniosłości. Jednakże i dziś, w każdą rocznicę umysł zwraca się ku przeszłości, szukając w niej może nie, jak dawniej, przykładów bojowego zapału, ale źródeł patrjotycznej ofiarności, a zwłaszcza źródeł narodowej spójni, która w chwilach przełomowych takich dokonywała cudów.



Rzeź na ulicach Warszawy w 1861 r.

Powstanie 1863 r. różni się zasadniczo zarówno swą genezą, jak i przebiegiem, od poprzednich wyzwoleńczych wysiłków narodu. O ile powstanie

1831 r. opierało się na kadrach zorganizowanego narodowego wojska, a początek jego był nagły i niespodziewany, o ile rewolucja 1848 r. nawiązywała do łączności solidarnej z rewolucyjną Europą, przeżywającą swą „wiosnę ludów" — o tyle powstanie styczniowe wyrosło z nagromadzonego cierpienia i bólu narodowego, a byt swój i szanse powodzenia opierać mogło wyłącznie na niezorganizowanych masach narodu. Ten specjalny charakter ruchu 1863 roku z jednej strony zadecydował o jego przebiegu, a z drugiej — przyczynił się do wyładowania tych momentów i właściwości, jakie nieznane były poprzednim powstaniom. Postarajmy się pokrótce przedstawić atmosferę, w jakiej toczyła się ostatnia walka o honor narodu, jak również poszczególne fazy jej rozwoju.

Ucisk polityczny, jakiego doznawała Polska podczas panowania Mikołaja I, nie pozwalał na rozwinięcie w pełni tych dążeń, jakie żywił naród, przyczyniał się do nagromadzenia w szerokich masach ogromu niezadowolenia. Wstąpienie na tron w 1855 r. Aleksandra II, w którym społeczeństwo polskie widziało antytezę Mikołaja i którego Warszawa pamiętała jako małego chłopca, odzianego w mundur wojsk polskich podczas koronacji Mikołaja — rozbudziło przygłuszone nadzieje. Nowego cesarza, przybyłego w 1856 roku do Warszawy, witano z entuzjazmem. Dość powiedzieć, że dla przypodobania się monarsze i zaznaczenia swego dlań uczucia panie polskie z najwyższej arystokracji występowały na balach dworskich w Warszawie w rosyjskich strojach narodowych.

Nadzieje te, podniecone początkowo przez rząd rosyjski, nie doprowadziły i doprowadzić nie mogły do niczego, gdyż zbyt wielkie między Polską a Rosją było przeciwieństwo interesów, zbyt daleko sięgały uprawnione roszczenia gnębionego narodu. Stosunek samego Aleksandra do sprawy polskiej najlepiej zresztą streszczają słowa jego, wypowiedziane do polskiej delegacji w owym czasie: „Wszystko, co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił, i ja to utrzymam", a zwłaszcza jego historyczne powiedzenie: „Polonais, point de rêveries" (Polacy, precz z marzeniami!).

Prądy, wiejące z zagranicy, dodawały ducha żądnym czynu patrjotom. Polityka narodowościowa, prowadzona przez Napoleona III, który, zdawało się, gotów był popierać wszędzie wolnościowe porywy, jak również przykład zjednoczenia Włoch — podniecały wyobraźnię Polaków. Emigracja demokratyczna z Ludwikiem Mierosławskim na czele wywierała na młode umysły w kraju niesłychany urok i popierała niepodległościowe dążenia. Musiało dojść do starcia, które na długo jeszcze poprzedziło faktyczny wybuch powstania. I doszło do starcia, a *hasło doń pierwsza dała młodzież szkolna*, która niejednokrotnie i później jeszcze składała dowody głębokiego patrjotyzmu i wielkiego męstwa.

Stosunki szkolne w owych czasach były nieznośne. W szkołach panował niski poziom naukowy i okrutna dyscyplina moskiewska, której argumentem pospolitym były rózgi i karcer. Duch rusyfikatorski i starannie rozwinięty przez władze system szpiegostwa zatruwały dusze młodego pokolenia, a w lepszych jednostkach budziły żądzę zmiany i odwetu.

To też szkoły średnie stały się pierwszym terenem czynów patrjotyzmu, które następnie młodzież przeniosła na szerszą widownię, urządzając szereg manifestacyj publicznych i pociągając za sobą starszych kolegów, akademików z Akademji Medycznej i ze Szkoły Sztuk Pięknych. Jedna z pierwszych tych manifestacyj odbyła się na pogrzebie jenerałowej Sowińskiej, wdowy po dzielnym obrońcy Woli z roku 1831 i wywarła imponujące wrażenie. Również z inicjatywy młodzieży rzucona została myśl urządzenia żałoby narodowej na pamiątkę powstania listopadowego na przełomie 1860 i 1861 roku. Myśl ta przyjęta została przez ogół i wprowadzona w życie. Ustały w kraju całym zabawy i bale, a barwne stroje zastąpiono ciemnemi ubiorami.

Demonstracje te szybko pociągnęły za sobą represje ze strony wroga. Nastąpił szereg aresztowań między młodzieżą szkolną, którą okrutnem katowaniem starano się uśmierzyć i „do porządku przywrócić". Lecz skutku to osiągnąć nie mogło. Wreszcie 27 lutego 1861 r., podczas manifestacji ulicznej bezmyślnie prowokacyjne zachowanie się wojska doprowadziło do krwawych starć, których ofiarą padło pięciu Polaków, między nimi uczeń gimnazjum, Michał Arcychiewicz. Wrażenie tych pierwszych na ulicy Warszawy strzałów było ogromne. Pogrzeb „pięciu poległych" przy udziale stutysięcznego tłumu stał się największą manifestacją narodu, który podniósł głowę i zapragnął zemsty.

Miary goryczy dopełniły tragiczne wypadki dnia 8 kwietnia 1861 r. Ludność warszawska urządziła dnia tego żałobną manifestację nad grobem zasłużonego sprawie asymilacji Żydów dyrektora szkoły rabinów, Eisenbauma, i na pogrzebie patrjoty Stobnickiego. Po rozwiązaniu już pochodu garstka młodzieży obok figury Matki Boskiej na Krakowskiem Przedmieściu zaintonowała hymn „Boże coś Polskę". Przypadkowo przejeżdżający wówczas ulicą z ekstra — pocztą pocztyljon, widząc zgromadzenie, zagrał na trąbce „Jeszcze Polska nie zginęła", a tłum owacyjnie przyjął ten odruch. I na tem skończyłoby się wszystko, gdyby władze nie zechciały w owej właśnie chwili zastosować uchwalonego ostatniej nocy prawa o zbiegowiskach, które zezwalało wojsku na użycie broni w stosunku do tłumu po trzykrotnem wezwaniu do rozejścia się. Ludność nie znała jeszcze tego prawa i dlatego też obojętnie przyjęła owo wezwanie, poprzedzone łoskotem bębnów. Wtedy oddział kozaków i żandarmów uderzył na tłum. Posypały się kule. Idący na czele pochodu z krzyżem w dłoni, Karol Nowakowski został pochwycony przez policję; krzyż, opuszczony przezeń, ujęła dłoń jakiegoś rzemieślnika, który zaraz padł, rażony kulą. Wówczas pochwycił krzyż idący w pierwszym szeregu manifestantów młody Żyd, Landy, i wzniósł go wysoko nad tłum, aż i jego skosiła kula.

Dnia tego zabito lub raniono przeszło 300 osób z pośród ludności Warszawy; ze strony wojska padło 30 żołnierzy.

Straszliwe to zajście do reszty przygnębiło ogół, a podniecił o tych, którzy nigdy w możliwość zgody i współżycia z wrogiem nie wierzyli.



Hasła nielicznych dotąd młodych zapaleńców znajdowały teraz coraz żywszy oddźwięk w starszem pokoleniu. Społeczeństwo, upojone moralnem zwycięstwem, za jakie uważano spontaniczny przejaw solidarności narodowej, zabrało się gorąco do pracy nad utrwaleniem więzi społecznych i zbrataniem wszystkich stanów. Rzemieślnicy i arystokracja, chrześcijanie i żydzi zgodnie szli w tym pochodzie ku odrodzeniu.

Ta „rewolucja moralna" w Polsce, ofiary i nastrój, jaki ogarnął Królestwo — spotkały się z przychylnem echem w całej Europie. Sam papież, Pius IX, odprawił nabożeństwo za dusze pięciu

poległych, a w Anglji odzywały się często głosy przeciwko Rosji i jej polityce w Polsce. Ta atmosfera sprzyjała pracy rewolucyjnej w kraju, którą pobudziły ponadto wieści, nadchodzące z Rosji, gdzie żywioły liberalne podnosiły również głowę, domagając się nadania krajowi konstytucji.

W Polsce podówczas zarysowały się dwa kierunki polityczne, reprezentowane przez stronnictwo radykalne z jednej strony, które w pracy konspiracyjnej zbierało siły do otwartej walki, i przez stronnictwo umiarkowane, które z nadzieją patrzyło na poczynania margrabiego Wielopolskiego, marzącego o zgodnem współżyciu Polski i Rosji pod berłem jednego cesarza.

Po całym szeregu nieudanych prób pojednawczych, po licznych zawodach, jakich doznało pragnące reform społeczeństwo, stronnictwo radykalne zdecydowanie wzięło górę i rozpoczęło przygotowania do zbrojnego wybuchu. Ówcześni wodzowie i organizatorzy tego wybuchu przeważnie sami nie wierzyli w jego skuteczność. Przyszłe powstanie, według nich, miało nosić charakter zbrojnej demonstracji, miało raz jeszcze zamanifestować przed światem nieprzedawnione prawa narodu do niezawisłości politycznej. Przygotowania, wobec konieczności zachowania tajemnicy i wielkich przeszkód technicznych, szły nadzwyczaj opornie. Żołnierze powstania składać się mieli z ludzi niewyszkolonych wojskowo, związanych ze sobą bardzo wątłą nicią spisku, ilość i jakość broni z trudem zbieranej urągała wprost elementarnym zasadom sztuki wojennej.

W ostatniej chwili Komitet Centralny w Warszawie wyznaczył wybuch powstania na dzień 22 stycznia 1863 r., aby uprzedzić projektowaną przez władze rosyjskie brankę rekrutów, mającą się rozpocząć 25 stycznia. Powstanie polegać miało na szeregu wybuchów w miasteczkach prowincjonalnych, gdzie stacjonowały mniejsze załogi rosyjskie. Ze strony polskiej poważnie liczono na pomoc w obozie wroga w osobach oficerów — Polaków oraz tych Rosjan, którzy, przejęci duchem rewolucyjnym, przyrzekli wspomagać, a przynajmniej nie przeszkadzać działaniom powstańczym. Cały plan tego pierwotnego działania wyszedł od Mierosławskiego i zaakceptowany został przez pierwszego wodza powstania — Zygmunta Padlewskiego.

Wielkie braki organizacyjne i błędy strategiczne nie pozwoliły pierwszym wybuchom odegrać tej roli, jaką im przypisywano. Na 144 miejscowości, gdzie kwaterowały oddziały rosyjskie, uderzono tylko na 17, a i w tych ataki bądźto zostały odparte, bądź też zwycięstwo przez powstańców nie zostało w zupełności wyzyskane. W niektórych punktach ponadto zawiodły nadzieje pokładane w pomocy z obozu wroga. W ostatniej chwili oficerowie, nawet Polacy, zawahali się przed złamaniem złożonej przysięgi wojskowej i zdradzili sprawę powstańczą.

Jednakże, mimo tych niepowodzeń, nagły wybuch uczynił wielkie wrażenie w Warszawie, która w tym początkowym ruchu udziału nie brała. Garstka straceńców, około której skupiały się coraz większe siły, stanęła do walki z najpotężniejszem militarnie mocarstwem w Europie. Wkrótce cały kraj stanął w ogniu, a walka, uważana początkowo przez sfery umiarkowane za awanturę wywołaną przez półgłówków, — została w końcu uznana za sprawę narodową.

Powstanie obejmuje Litwę, gdzie jednakże szybko zostaje zlikwidowane, i Krakowskie. Walki toczą się ze zmiennem szczęściem, w końcu atoli zorganizowana i przeważająca siła wroga bierze górę. Prawie wszyscy przywódcy radykalnego kierunku zginęli lub w kazamatach wroga oczekiwali śmierci. Tak kończy się w marcu 1863 roku pierwszy akt powstania. Tylko pierwszy akt, bo naród, party pragnieniem wolności i podsycany nadziejami z zagranicy, zwłaszcza Francji, która wspierała moralnie sprawę powstańczą, — nie opuścił wzniesionej broni. Poczęły się samorzutnie formować oddziały

bojowe i walka rozgorzała na nowo. Wołyń, Ukraina i Litwa stały się teraz terenami bojów, a udział w powstaniu chłopów, których uwłaszczył Rząd Narodowy, stał się wydatniejszy.

Mimo jednakże cudów waleczności, mimo czynów, które na wieki utrwalą pamięć polskiego męstwa i ofiarności — powstanie w końcu 1863 r. zamiera. Jak lwy bronią się jeszcze w partyzanckich walkach drobne jednostki bojowe.

Na tle tych ostatnich heroicznych bojów świetlanym blaskiem jaśnieje postać księdza Stanisława Brzóski. Należał on jeszcze do tych, którym przypadło w udziale uderzenie w pamiętną noc 22 stycznia 1863 r. na prowincjonalne załogi rosyjskie. Ks. Brzóska wsławił się wtedy atakiem na Łuków, z którego wyrugował 2 kompanje piechoty moskiewskiej i zabrał sporą ilość broni. Walczył dzielnie na czele oddziału, a po upadku powstania przez cały rok 1864 prowadził partyzantkę na Podlasiu. Wspomagany przez lud, dla którego był bohaterem narodowym, długo wywijał się obławom, aż wreszcie, aresztowany 25 kwietnia 1865 r., powieszony został w Sokołowie 24 maja 1865 r. wraz ze swym dzielnym towarzyszem bojów, kowalem Wilczyńskim.



Scena z powstania w Podlaskiem.

Po zdławieniu powstania ciężka żałoba spowiła kirem naród cały. Nie było rodziny, któraby nie straciła swego bliskiego. Rozpoczęły się najokrutniejsze represje. Na długie lata zamarły wolnościowe rojenia...

Powstanie 1863 r. — tak beznadziejne w przebiegu swym pod względem szans powodzenia, odegrało w dziejach narodu rolę niezmiernie doniosłą. Wykazało ono przedewszystkiem nazewnątrz siłę moralną narodu, zdolnego do tak wielkich wysiłków, na wewnątrz zaś było potężną próbą solidarności społecznej, było ogniem, w którym stopiły się dzielące społeczeństwo różnice, a narodziła się potężna świadomość wspólności narodowej. Tej świadomości krwią zdobytej nie mogły zniszczyć prześladowania i ona była gwarancją, iż naród, który ujrzał już „jutrzenkę swobody“, musi za nią zobaczyć w końcu słońce zbawienia.

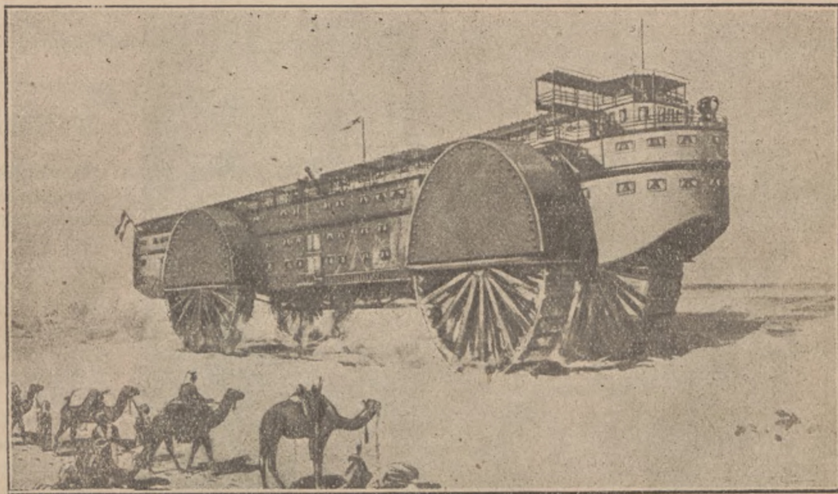
K.



ILUSTROWANA KRONIKA MIESIĘCZNA



Wyprawa naukowa pod kierownictwem prof. Cherrie, zorganizowana staraniem amerykańskiego Field-Muzeum wróciła niedawno z trzymiesięcznej podróży przez brazylijskie dżungle, przywożąc obfitą i zoologicznie ciekawą zdobycz. Na pierwszej fotografji mamy trzy piękne okazy małp. Zwierzę na drugiej fotografji też jest małpą... a nie kotem.



Okręt pustyni.

Dawniej zwał się „okrętem pustyni" — wielbłąd, który przez setki lat był jedynym środkiem lokomocji na obszarach bezbrzeżnych pustyń. Kilka lat temu francuska ekspedycja przecięła Saharę autotankami „Citroën". Dotychczas jednak tylko drobne grupy zdołały wtargnąć „w samo serce pustyni". Obecnie „okręt pustyni" projektu inżyniera Kiela będzie mógł pomieścić do 300 pasażerów, zapewniając im przez cały czas podróży: kontakt ze światem cywilizowanym i dostateczny zapas jadła i napoju! O rozmiarach tego kolosu daje nam wyobrażenie grupa wielbłądów i ludzi.



Nowy mikado japoński Hirohito.



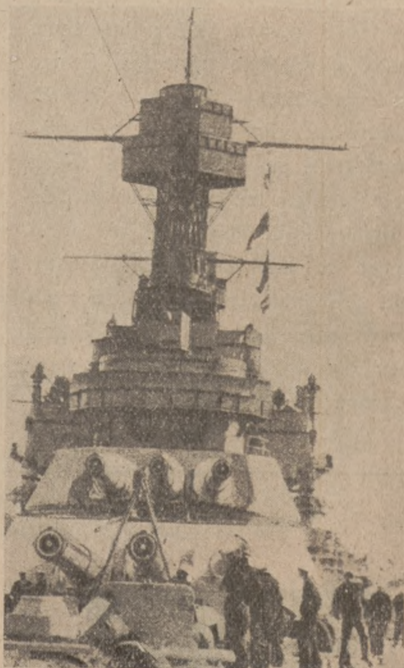


W Chinach.

Fotografja przedstawia sąd pod gołem niebem nad dwiema przekupkami, oskarżonemi o sprzedawanie towarów, importowanych z Anglji, pomimo ogłoszonego bojkotu. Oskarżyciel kwalifikuje przestępstwo jako zdradę stanu!

Konflikt zbrojny w Ameryce.

Przewrót polityczny w Nicaragui naraził Stany Zjednoczone na utratę ważnych koncesyj gospodarczych. Rząd washingtoński postanowił załatwić sprawę drogą zbrojną. Amerykańska flota wojenna obsadziła wybrzeża małej republiki. Fotografja nasza przedstawia fragment wspaniałego okrętu admiralskiego.



Rozmowa z autorem „Miasta mojej matki"

JULJUSZEM KADEN-BANDROWSKIM[1]

„Należałoby odwrócić cały chronologiczny system nauczania literatury w szkole" — mówi pan Bandrowski.

Redakcja Mojego Przyjaciela zwróciła się do szeregu znakomitych pisarzy, pedagogów i uczonych z prośbą o udzielenie wywiadów, oświetlających zagadnienia interesujące młodzież.

Pierwszy zabiera głos pan Juljusz Kaden-Bandrowski. W wywiadzie poniższym wypowiada się m. in. w sprawie tak ważnej, jak system nauczania literatury polskiej w szkole.

—Nie będę pytał pana o czasy szkolne, gdyż pisał pan o nich, odpowiadając na ankietę „Wiadomości Literackich" — mówię, rozpoczynając rozmowę z p. Kaden-Bandrowskim.

W wyżej wspomnianej ankiecie wyraził się pan, iż „należałoby odwrócić cały chronologiczny system nauczania literatury w szkole". Czy mógłby pan powiedzieć naszym czytelnikom, co wpłynęło na wyrażenie przez pana takiego poglądu?



Juljusz Kaden Bandrowski

— Uważam, że młodzież 13-14 letnia nie ma poczucia perspektywy historycznej. Nie może sobie zdać sprawy z tego, że język polski Reja czy Bielskiego jest językiem polskim w stanie rudy, językiem, który wychodzi dopiero z uniwersalnej średniowiecznej łaciny. Wydaje się tej młodzieży, że ci starzy pisarze nie umieli językiem polskim porządnie władać i dlatego wypisują „straszne idjotyzmy". Młodzież tkwi cała we współczesności i tę współczesność należałoby jej dać. Według mnie, winno się naukę literatury w szkole zacząć od odpowiednio ułożonego studjum literatury współczesnej; dopiero od tego należałoby szybkim krokiem iść wtył. Istnieje nawet specjalne wydawnictwo, które znakomicie ułatwia takie studjowanie literatury; mam tu na myśli „Kraj lat dziecinnych", w którym na odpowiednio wybrane tematy piszą najznakomitsi pisarze Polski współczesnej.

[1]) Pierwsze prace J. Kaden-Bandrowskiego ukazały się w roku 1911-ym („Niezguła"· „Zawody"). W roku 1914-ym wstępuje Kaden do legjonów i staje się narratorem i gloryfikatorem ich czynu („Piłsudczycy", „Spotkanie", Mogiły", „Wiosna 1920 r.", „Wyprawa Wileńska"). Później powstają inne powieści i nowele („Łuk", „General Barcz", „Przymierze serc" i in.), a ostatnio napisał Kaden dwie doskonałe powieści pamiętnikowe dla młodzieży: „Miasto mojej matki" i „W cieniu zapomnianej olszyny".

— Co spowodowało fakt, że nie pomijając stref „ulewy i grzmotu“ (w „Generale Barczu“ choćby), poszukał pan „cienia i pogody w wiekach dzieciństwa“, pisząc „Miasto mojej matki“ i „W cieniu zapomnianej olszyny“? — pytamy zkolei pana Bandrowskiego.

— Powodem tego są moi synowie.[1]) Oni to przypomnieli mi całe złoża drzemiących we mnie pokładów wspomnień z lat dziecinnych—mówi z uśmiechem nasz znakomity rozmówca.

— Jaka była najulubieńsza pana książka lat dziecinnych?

— Robinson Kruzoe. Pamiętam, że po przeczytaniu tej książki strasznie się rozpłakałem;—płakałem, że ta cudowna książka nie ma dalszego ciągu. O tem czytaniu pierwszej mej książki w życiu napisałem nowelę p. t.: „Książka“ (wydana w zbiorze nowel p.t. „Zbytki“).

— A najulubieńsza książka lat młodzieńczych?

— Trylogja Sienkiewicza — odpowiada bez namysłu pan Kaden.

— Jakich pisarzy polskich poleciłby pan do czytania naszej młodzieży?

— Prusa, Dygasińskiego, Orzeszkową i Sieroszewskiego.

[1]) Panowie Jędruś i Pawełek Bandrowscy są bliźniętami i liczą sobie po sześć lat.

— Czy pan zamierza jeszcze pisać dla młodzieży?

— Cała moja literatura dla młodzieży uzależniona jest od rozwoju mych synów. Nie znaczy to, abym me książki dla młodzieży pisał wyłącznie dla nich, ale oni je powodują, oni je we mnie rodzą.

— Może pan ma coś dla młodzieży „na warsztacie“?

— Owszem; na wiosnę wydam tom nowel, wyłącznie dla młodzieży, p. t. „Nad brzegiem wielkiej rzeki“.

Tę rozmowę z panem — mówi pan Bandrowski — zakończę apelem do młodzieży.

To młode pokolenie, które obecnie dorasta, które niebawem przystąpi do budowania swych ognisk domowych, stokrotnie lepszych od naszych, pełnych rozmaitych tajemniczych drutów i urządzeń, niech pamięta o tem, aby w każdym domu była bibljoteka, w którejby czysto i ładnie utrzymywano książki. Książka w domu, to jest gromochron, który strzeże go od wielkich nieszczęść. Człowiek, w którego domu niema książki troskliwie zbieranej i hodowanej, jest zawsze niebezpiecznym człowiekiem — kończy pan Kaden-Bandrowski.

J. G.



Głupiec, który opuszcza książki tak prędko, jak uciekająca gazella, jest podłego umysłu. (Prus — Faraon)

Sztuka czytania jest niby nowym zmysłem, nieskończenie głębszym i rozleglejszym od wzroku. (Prus—Kroniki)

* * *

Postęp polega na zaczynaniu przez młodych pracy tam, gdzie starzy ją ukończyli. (Prus)



Naokoło świata w 48 godzin.

Fantazja Juljusza Verne'go w obliczu najnowszych zdobyczy techniki.

Stosunkowo niedawno Juljusz Verne pisał swą fantastyczną (!) powieść o ekscentrycznym Angliku, który odbył podróż naokoło świata w 80 dni — i pisał o tem, jako o czemś narazie niedościgłem, będącem wówczas tylko utopijną myślą! A teraz — w sferach lotniczych mówi się zupełnie poważnie o tem, że wkrótce będzie można okrążyć kulę ziemską w czasie, nie przekraczającym 48 godzin. Świadczą o tem cyfry, ilustrujące dotychczasowe zdobycze aeronautyki.

Już w grudniu 1924 roku francuski lotnik Bone osiągnął na swym aeroplanie, zaopatrzonym w motor o sile 550 HP, szybkość 448 klm. na godzinę. Zważywszy, że obwód kuli ziemskiej wynosi 40700 klm., łatwo dojdziemy do wniosku, że możnaby okrążyć naszą planetę w 89 godzin. A jeśli podróż naokoło świata odbyć nie wzdłuż równika, — a dajmy na to — równoleżnika, przechodzącego przez Paryż, nie trwałaby ona więcej, niż 48 godzin.

Dane statystyczne dowodzą, że w ciągu ćwierćwiecza szybkość samolotów zwiększyła się prawie dziesięciokrotnie (51 km/godz. w 1903 r. i 448 w 1924 r.).

Teoretycy francuscy ostatnio doszli do wniosku, że teoretycznie aeroplan może osiągnąć szybkość 2000 klm. na godzinę. W każdym razie możemy przypuszczać, że już w najbliższej przyszłości będziemy mogli osiągnąć szybkość przynajmniej 1000 klm/godz. Bagatelka, o której Verne nawet nie śmiał myśleć!

Chodzi tylko o usunięcie dwóch przeszkód. Jak wiadomo, loty, dotychczas dokonane, odbywały się na wysokości przeciętnej 100 metrów nad ziemią, gdzie powietrze jest niewiele rzadsze, niż atmosfera powierzchni ziemi— i ciśnienie niemniej wielkie. A gdyby tak móc latać na wysokości 10 kilometrów? Nierównie rzadsza atmosfera pozwoli rozwinąć większą szybkość. Z drugiej strony technicy pracują stale nad udoskonaleniem samej konstrukcji aeroplanu. Dąży się do tego, by aparat mógł najłatwiej pokonywać opór powietrza i w tym celu nadaje mu się coraz bardziej okrągłe kształty przy jednoczesnem zmniejszeniu wagi motoru i zwiększeniu jego wytrzymałości. Oczywiście, pozostaje do zwalczenia bardzo ważna przeszkoda: wiemy, że człowiek może się wznosić do pewnej tylko wysokości. Przy wzlotach w sfery, gdzie powietrze jest bardziej rozrzedzone, piloci wpadają w stan chorobliwego podniecenia. Daje się u nich zauważyć wzmożone działanie serca, głębszy oddech, zmiana barwy skóry, zachwianie poczucia równowagi i niezwykłe podniecenie przy jednoczesnem osłabieniu zdolności orjentacyjnej — stan, podobny do... nietrzeźwości.

Lekarze stwierdzili jednak, że łatwo usunąć te zjawiska przez używanie inhalatorów, czyli przez wdychanie sztucznie wytworzonego gęstego powietrza. Trudno jednak umieszczać balony z tlenem w aparatach lotniczych. Ostatnio uczony holenderski Dr. Wulften-Falte zaproponował, by urządzić w aeroplanach kajuty, w których — zapomocą motorów specjalnych — można byłoby utrzymać odpowiednią atmosferę.

Sprawa tych „komór atmosferycznych" przeszła już z dziedziny teorji do „dyspozycji" techniki, która ma zabezpieczyć je od ewentualnego zepsucia motorów.

Widzimy więc, że lot dokoła ziemi w 48 godzin i właśnie po linji równika jest czemś praktycznie osiągalnem i kwestją najbliższych lat.

Jak śmiesznie obecnie brzmi tytuł „fantastycznej" książki Verne'go, którego bohater ledwo w 80 dni zdążył okrążyć obie półkule!

Wielcy pisarze polscy doby obecnej na ławie szkolnej.

„Siedząc na jednej ławce“ z tym lub innym kolegą, nie myślimy o tem, że kiedyś, gdy ten kolega (a może i my sami?) stanie się sławnym człowiekiem, będziemy mówili (lub inni będą o nas mówili):

— A, to ten... Siedziałem z nim na jednej ławie w szkole.

Świadomość, żeśmy „kolegowali“ z „tym sławnym człowiekiem“ może nas napełnić pewnego rodzaju dumą, lub też... smutkiem, że to nie my jesteśmy tymi sławnymi.

Często te przyszłe sławy mogą być marnymi uczniami (ba, „sam Mickiewicz,“ siadywał po dwa lata w jednej klasie!), nawet „ofiarami“, a później...

Tą właśnie sprawą „szkolnych czasów“ naszych żyjących wielkich pisarzy zajęła się ankieta „Wiadomości Literackich“[1]). Na pytatania: 1) *Jak się pan uczył w szkole średniej?* 2) *Czem się pan najbardziej interesował?* 3) *Jaki był pana stosunek do literatury?* — odpowiadają wszyscy prawie potentaci i potentatki pióra i nauki.

Najkrócej odpowiada na powyższe pytania znakomity tłumacz Moliére'a, Tadeusz Boy-Żeleński. Pisze on mianowicie: 1) Nierównomiernie. 2) Grą w bilard. 3) Głupawy.

Nierównomiernie uczył się też Adolf Nowaczyński, autor „Fryderyka Wielkiego“, który nawet klasy trzecią i siódmą „repetował“. Już w klasie szóstej napisał krótką pracę o Fryderyku Wielkim, która później zamieniła się w jego wielki dramat historyczny. „Już w czwartej klasie jeden z profesorów, zamykając mnie na trzygodzinny karcer, wyrzekł wobec kolegów pamiętne mi: „Ty, Nowaczyński, albo będziesz wisiał kiedyś, albo będziesz bardzo wielki i sławny“. „Dotychczas ani jedno, ani drugie nie spełniło się“— temi słowy kończy Adolf Nowaczyński.

Znakomitego powieściopisarza, Ferdynanda Goetla zakwalifikował również na szubienicę jeden z dyrektorów gimnazjalnych. Mimo tak ujemnego zdania o swej przyszłości, wyniósł Goetel ze szkoły „walor“ niezrównanej ceny — wspomnienia o dobrych profesorach. Profesorów tych miał wielu, gdyż od klasy pierwszej do klasy czwartej włącznie zmienił trzy zakłady gimnazjalne, potem uczęszczał do szkoły kadeckiej, następnie zdał egzamin do klasy siódmej szkoły realnej i tę szkołę ukończył, jako prymus. Powodem tych wędrówek były „obyczaje przeważnie naganne, a nigdy lepsze od dobrych“.

Juljan Ejsmond „wielki łowczy literatury polskiej“, znakomity bajkopisarz, mówi: „Prymusem nie byłem, gdyż jest to maszynka, która robi dużo gwałtu i zostawia po sobie nieprzyjemny swąd“. „W szkole nauczyłem się jednej rzeczy: zdobyłem pewność, iż trzeba ją na to skończyć, aby się zacząć uczyć“.

Juljan Tuwim pisze, że „piekłem i grozą jego lat uczniowskich była matematyka“. W szóstej klasie siedział dwa lata.

W pięknym wierszu p. t. „Nauka“ pisze ten poeta o czasach szkolnych:

— Różne rzeczy do głowy mi wkuli,
Tumanili nauką daremną.
I nic nie wiem, i nic nie rozumiem,
I wciąż wierzę biednemi zmysłami,
Że ci ludzie na drugiej półkuli
Muszą chodzić do góry nogami.

I do dziś mam taką szkolną trwogę.
Bóg mnie wyrwie — a stanę bez słowa!
— Panie Boże! Odpowiadać nie mogę.
Ja... wymawiam się, mnie boli głowa...

Trudna lekcja. Nie mogłem odrazu,
Lecz nauczę się... po pewnym czasie...
Proszę! Zostaw mnie na drugie życie,
Jak na drugi rok w tej samej klasie.

Także Juljusz Kaden-Bandrowski ma „do dziś szkolną trwogę“. „Wspomnienie gimnazjum — całej tej maszyny godzin, pytań, odpowiedzi i zadań trapi mnie jeszcze teraz. Jeszcze na wojnie, gdy się zaczynał ogień działowy, silniejszy niż zwykle, zrywałem się ze snu z wrażeniem, że mam iść do tablicy i odpowiadać. Świadomość, że to już nie gimnazjum, lecz bitwa, przynosiła mi błogą ulgę“.

[1]) Nr. 1, 2, 3 i 4 ub. r.

Znakomita poetka I. K. Iłłakowiczówna uczyła się w domu i zdawała tylko egzaminy w rosyjskich szkołach rządowych. „Cały ten okres uważam za chybiony i chętnie przeszłabym teraz ośmioletni kurs nauki w jakiej doskonałej polskiej szkole średniej".

Zato poeta Antoni Słonimski „z pobytu w szkole średniej wyniósł doskonałą znajomość psychologji ludzkiej, wielką wprawę w oszukiwaniu nauczycieli oraz potężną pomysłowość i oszałamiającą inwencję w kłamstwach". Słonimski nie może więc swoich lat szkoły średniej uważać za chybione. Uczył się „dobrze, ale rzeczy nie objętych programem szkolnym". „Już w klasie pierwszej" — pisze Słonimski — „nauczyłem się pluć przez zęby, gwizdać na dwóch palcach i podstawiać nogę. W drugiej klasie umiałem puszczać dym nosem i grać w „kuksa".

Ciekawy jest również jego „stosunek do literatury". „Stosunek mój do literatury był sumienny i uczciwy. Począwszy od klasy drugiej, czytywałem systematycznie książki. wypożyczane z Bibljoteki Publicznej. Powodowany absolutną bezstronnością, studjowałem dzieła w porządku alfabetycznym, jak podane były w katalogu. Pierwszą książką było dzieło p. A. B. p. t. „Bazyli i Zofja", potem zaznajomiłem się z pracą p. Adamusa p. t. „Wyznanie kobiety", następnie przeczytałem „Dziewicę skał" d'Annunzia i t.d. Przy dziele C. Bernarda p. t. „Himmlische und irdische Liebe" zatrzymałem się nieco dłużej, zupełna bowiem nieznajomość języka niemieckiego przedłużyła nieznacznie proces czytania". Ciekawe studjowanie literatury, nieprawda?

„Nieco" inny stosunek do literatury miał w szkole średniej Kornel Makuszyński, autor wspaniałej książki o czasach szkolnych p. t. „Bezgrzeszne lata". „Należałem do takich pożeraczów książek, że do dziś mnie podziw bierze, w jaki sposób zdołałem zachować resztki rozsądku, umieściwszy w ciasnym łbie niepoliczone tomy, z całym Szekspirem na czele" — pisze Makuszyński. Profesor matematyki (który odsyłał Makuszyńskiego na naukę do szewca, gdzie mu przepowiadał wielką karjerę) miał słuszność, mówiąc, że źle skończę. Galicjaninie, zwyciężyłeś! Na matematyce znam się w dalszym ciągu tyle, co koń elberfeldzki..."

Zato zna się i znał się już w szkolnych czasach na matematyce Bruno Winawer (którego „Boczną Antenę" każdy winien przeczytać). „W owych odległych czasach interesowały mnie szachy, podróże do bieguna, zagadnienia matematyczne. Fizyka, nawet w tej śmiesznej, skażonej formie, w jakiej przedostała się do podręczników, zajmowała mnie bardzo".

Znalazł się między naszymi pisarzami jeden, który żałuje tego, że nie był „uczniem tak pilnym, aby się uczyć celująco"; — słowa te pisze Włodzimierz Perzyński, autor świetnych „Uczniaków".

„Celującym uczniem w klasach wyższych z dodatkiem, „z odznaczeniem" lub „ze szczególnem zamiłowaniem do przedmiotu"— był Juljusz Kleiner, autor monografij o Słowackim i Krasińskim, znakomity krytyk literatury.

Dla Tadeusza Sinki, sławnego filologa i krytyka, czasy szkolne były „zaspakajaniem ciekawości i syceniem głodu wiedzy". Był do klasy czwartej uczniem celującym, a od czwartej „celującym z odznaczeniem".

We wszystkich prawie wyżej przytoczonych wspomnieniach naszych wielkich pisarzy uderza jedno — brak entuzjazmu, brak zamiłowania do szkoły. Lecz jakże istnieć może ten entuzjazm, gdy wszyscy oni uczęszczali do szkół zaborczych, „które były dla duszy młodzieży polskiej prokrustowem łożem, gdzie te młode płonki obcinano, zniekształcano, albo poprostu niszczono".

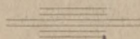
Wspomnienia ze współczesnej szkoły polskiej będą chyba bardziej entuzjastyczne i kiedyś z rozkoszą będziemy wspominali nasze czasy szkolne.



PRZY EGZAMINIE.

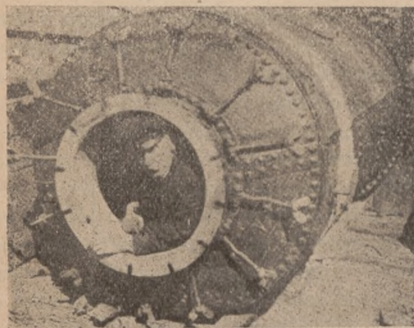
— Przecież to pytanie jest bardzo proste—powiada z wyrzutem w głosie profesor.

— Oczywiście — zgadza się biedny uczeń — pytanie jest łatwe, ale odpowiedź bynajmniej nie jest łatwa...



—T—O i O—W—O—

Poszukiwanie skarbów zatopionych. Wiadomo powszechnie, iż na dnie morskiem, w niedostępnych głębinach spoczywają snem wiecznym niezliczone bogactwa, w złocie i srebrze, pochodzące z okrętów, zatopionych przez burze lub podczas niezliczonych w historji ludzkiej działań wojennych. Ale głębia morska strzeże zazdrośnie swych tajemnic i wielu śmiałków przypłaciło życiem zuchwałe usiłowania, zmierzające do wydarcia morzu ukrytych skarbów. Na rycinie naszej widzimy nową próbę w tym kierunku. Pułkownik angielski K. M. Foss zbudował specjalny „dzwon nurkowy", zdolny wytrzymać ogromne



ciśnienie na wielkich głębokościach. Pułkownik Foss zamierza zapomocą swego wynalazku zbadać dno kanału La-Manche, celem odnalezienia i wydobycia zatopionych w XVI w. skarbów „Niezwyciężonej armady". Jak wiadomo z historji, tak nazywała się wielka flota, którą w roku 1588 Filip II hiszpański wyprawił przeciwko Anglikom; lecz dzielnym żeglarzom brytyjskim udało się (w czem im zresztą dopomogła burza), zatopić prawie wszystkie okręty hiszpańskie, z których jeden był naładowany sztabami czystego złota.

* * *

Praktyczny środek. Czy nigdy nie zdarzyło ci się, czytelniku, znaleźć się w niemiłej sytuacji, gdy, wyjechawszy rowerem gdzieś za miasto, by mile spędzić czas w wesołem towarzystwie, wnet... traciłeś humor „dzięki" pęknięciu opony roweru i perspektywie przebycia pieszo kilku... nawet kilkunastu kilometrów?

Otóż, aby zapobiec właśnie podobnym miłym niespodziankom, francuski inżynier Barral wynalazł środek nader prosty i dla każdego dostępny, a zupełnie zabezpieczający kiszkę roweru od pęknięcia. Mianowicie, trzeba rozgotować w wodzie zwykły papier lekko mieszając, dopóki nie otrzymamy lepkiej masy. Masę tę należy ochłodzić, przepłukać kilkakrotnie letnią wodą (celem usunięcia szkodliwych składników chlorowych) i następnie rozcieńczyć wodą, żeby zrobić ją ciekłą. Z otrzymanej masy bierze się około 100 centymetrów sześciennych i zapomocą lejka wlewa się do kiszki (kiszkę uprzednio zdjąć z koła), przepychając twardsze grudki patyczkiem. Teraz kiszka jest już gotowa do użycia i zabezpieczona od pęknięcia.

* * *

Drzewo... krowa i drzewo... kino. Błędne jest mniemanie, że nauka zdążyła już odkryć i zarejestrować wszystkie okazy przyrody żywej, istniejące na świecie. Nie mówiąc już o naukach zupełnie „młodych", np. oceanografji, która zaczęła się rozwijać dopiero w czasach ostatnich, — nawet w naukach „starych", jak np. w botanice spotykamy się bardzo często z niespodziankami, zdumiewającemi ludzi uczonych swą niezwykłością. Do takich niespodzianek należy odkrycie przez ekspedycje naukowe dwóch roślin, ochrzczonych przez dzienniki amerykańskie: drzewo... krowa i drzewo... kino.

Pierwsze z nich zostało przypadkowo odkryte przez amerykańską ekspedycję naukową prof. S. Rekorda w dziewiczych lasach Guatemali, w Ameryce Środkowej. Poczciwy profesor zdziwił się wielce, gdy ujrzał, że jeden z robotników, uderzywszy siekierą w jakieś drzewo, został oblany od stóp do głowy strumieniem białego jak mleko płynu, tryskającego z nadcięcia. Profesor nie omieszkał skosztować tego soku i przekonał się, że ma on smak słodkawy i przyjemny, rzeczywiście najbardziej przypominający mleko. Ekspedycja nie mogła, niestety, zabrać ze sobą tego drzewa, sięgającego kilkunasto-

metrowej wysokości, i zostawiła je w lesie, nadrąbane w kilku miejscach i literalnie opływające mlekiem. Powróciwszy z wyprawy, profesor zbadał przywiezione ze sobą suche kawałki drzewa krowy — i obecnie wykonuje próby zasadzenia w Ameryce Północnej plantacji pożytecznego drzewa.

O wiele większą sensację wywołało w nauce odkrycie przez francuskiego uczonego A. Rouhier rośliny, która u tubylców płaskowzgórzy meksykańskich nazywa się „pejotl", zaś u półdzikich indjan w Meksyku stanowi przedmiot kultu i uważana jest za „świętą". Ma ona tę dziwną właściwość, iż spożycie nawet niedużej ilości jej pulchnej miazgi wprawia człowieka w stan jakiegoś dziwnego podniecenia i upojenia. Rouhier zbadał tę roślinę w eksperymentach ze swymi pacjentami i wszyscy odnieśli jednakowe wrażenie. Człowiek, spożywszy „pejotlu" jest napozór w stanie zupełnie normalnym, rozmawia swobodnie, ruchy ma zwykłe, czuje się dobrze; ale przed jego szeroko rozwartemi oczyma przesuwają się dziwne widzenia, fantastyczne i barwne, jak motywy bajek. Widzi on jakieś świątynie i pałace z kryształu i drogocennych kamieni, lśniące wszystkiemi barwami tęczy; korowody nimf leśnych, olbrzymie dziewicze lasy, zamieszkane przez jakoweś straszliwe potwory i t. p. Badania wykazały, że treść widzeń różni się w zależności od indywidualności pacjenta, lecz barwność, fantastyczność i niezwykłość obrazów uderza we wszystkich eksperymentach.

Lekarze spodziewają się, iż „pejotl" będzie bardzo pożyteczny, jako środek leczniczy; lecz używanie go bez recepty lekarza będzie, jak się zdaje, zabronione przez rząd francuski, narówni z opjum i innemi narkotykami.

* * *

Dlaczego chińczycy mają krzywe ulice?

Djabeł, według wierzeń chińczyków, chodzi zawsze prostemi drogami, aby mu więc utrudnić chodzenie budują, gdzie mogą, drogi w labirynt, utrudniając chodzenie przedewszystkiem sobie.

* * *



Grzyb — wulkan. Podczas upałów letnich t. zw. grzyb-olbrzym pęka i wyrzuca na znaczną wysokość ziarna.

Oryginalny podatek!

Rząd tybetański nałożył oryginalny podatek od... nosa. Im dłuższy ktoś ma nos, tem większy płaci podatek. Niewiadomo, czem zawinili ci, których los obdarzył długim nosem?!

* * *

Rewolwer — malarzem. Policja berlińska w walce z przestępcami zastosowała ostatnio nowy wynalazek. Rewolwery ajentów policyjnych zaopatrzone są w dodatkowy mechanizm, strzelający... czerwoną farbą. Przestępca, w ten sposób napiętnowany, nie może się ukryć przed okiem sprawiedliwości, gdyż farbę bardzo trudno zmyć (i to dopiero po upływie kilku tygodni).

Dobry sposób rozwiązywania zadań.

Nauczyciel szkółki wiejskiej w okolicach Sztokholmu zauważył pewnego dnia, że jeden z uczniów nie przyszedł do szkoły. Równocześnie otrzymał od matki chłopca następujący list:

Panie Nauczycielu!

Proszę darować, że syn mój Piotr nie przyszedł dziś do szkoły. Musiał jednak zastąpić ojca w pilnowaniu fabryki, a to dlatego, że mu pan zadał zadanie zbyt trudne, a mianowicie:

„Ile czasu potrzeba na obejście dwa i pół razy dookoła pola, mającego cztery mile kwadratowe powierzchni, jeżeli się idzie z szybkością $^3/_4$ mili na godzinę".

Mój syn jest za mały, aby to zrobić i dlatego, zamiast niego, na obejście pola wyruszył dziś rano mój mąż, ale to zabierze dużo czasu. Spodziewam się jednak, że wróci na wieczór i że Piotr będzie mógł jutro przyjść do szkoły. Może za drugim razem pan obmyśli takie zadanie, żeby mogła zrobić kobieta, to już ja się tego podejmę.

AFORYZMY WSCHODNIE.

Kiedy zrobisz coś głupiego,
Nie czyń mądrej miny.
Jeszcze pół w tem będzie złego,
Kiedy zrobisz coś głupiego.

Nic ponadto śmieszniejszego,
Nie zatrzesz tem winy.
Kiedy zrobisz coś głupiego,
Nie czyń mądrej miny.

* *
*

Gdy niepotrzebnyś usuń się,
Wprzód, nim to poznać dadzą,
Nim sami nie wyproszą cię,
Gdy niepotrzebnyś usuń się...

Pamiętać chciej zasadę tę:
Wysiadaj, nim wysadzą.
Gdy niepotrzebnyś usuń się,
Wprzód, nim to poznać dadzą.

Maksymiljan J. Emmer

Kącik filatelistyczny









Międzynarodowy Związek Pocztowy od początku istnienia za naczelne swe zadanie





uważał wynalezienie środków dla ułatwienia pracy, oszczędzenia czasu i zredukowania do minimum wysiłku umysłowego i fizycznego urzędników pocztowych. Jeden z przepisów, w tym celu wydanych, nakazywał podawać na znaczkach nazwę kraju i wartość znaczka dla umożliwienia szybkiej ekspedycji. Przedtem wiele państw nie podawało na znaczkach nazwy kraju, a tylko wartość i napis np: „Postage", „Postes" i t. p. Zamiast nazwy kraju znajdujemy na znaczkach godło państwowe lub portret panującego.

Ale i dziś jeszcze znajdujemy cały szereg znaczków (jak np. uwidocznione na naszej ilustracji), które nie odpowiadają obowiązującym w tym względzie przepisom. Rozpoznawać takie znaczki możemy tylko dzięki przyzwyczajeniu i doświadczeniu.

MŁODY TECHNIK

Budowa aparatu kryształkowego na nową falę warszawską.

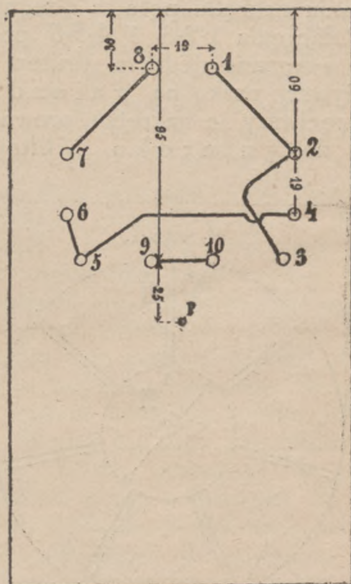
Warszawska stacja radjofoniczna, zwiększając siłę aparatury nadawczej, zmieniła jednocześnie długość fali z 400 mtr. na 980 mtr. Wielu radjosłuchaczy znajduje się obecnie w wielkim kłopocie, gdyż Warszawy wcale nie słyszą, lub też słyszą ją bardzo słabo. Chcąc przyjść im z pomocą, opiszemy budowę aparatu kryształkowego, na którym można odbierać długie fale w pobliżu stacji nadawczej. W tym celu należy zaopatrzyć się w następujący materjał:

1) pudełko od cygar (wymiary około 13 cm × 20cm × 4 cm)
2) 10 gniazdek do wtyczek
3) 50 mtr. drutu grubości 0,35 mm w podwójnej bawełnie
4) kawałek preszpanu 18×26 (cm²)
5) detektor
6) 4 wtyczki
7) 1 mtr. drutu do połączeń wewnętrznych aparatu.

Koszta budowy tego aparatu wynoszą mniej, niż 10 zł. t.j. sumę, jaką każdy przeciętnie z naszych czytelników będzie mógł rozporządzać.

Wyszukawszy odpowiedniej wielkości pudełko od cygar, przystępujemy najpierw do usunięcia z niego papieru. Gdy pudełko zostanie dobrze oczyszczone, możemy pomalować je czarnym lakierem spirytusowym, a jeszcze lepiej — odpoliturować. W tym celu rozpuszczamy szellak w spirytusie denaturowanym, zwilżamy tym roztworem miękki gałganek i nacieramy nim pudełko póty, póki nie otrzymamy gładkiej, świecącej powierzchni.

Po wykonaniu tego zabiegu wiercimy 10 otworów w przykrywce pudełka o średnicy 6 mm. (rozstawienie i wymiary podaje rys. 1), w które wstawiamy gniazdka, przykręcając je od spodu przykrywki jedną tylko na-



Rys. 1.
Sposób połączenia gniazdek od spodniej strony przykrywki (Kół a oznaczają gniazdka. Wszystkie wymiary w milimetrach).

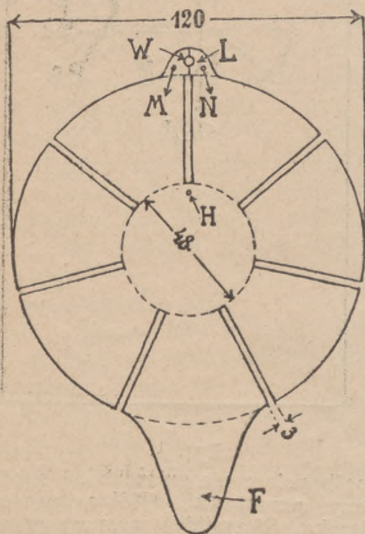
krętką. Gniazdka te należy połączyć drutem od spodu pudełka (patrz rys. 1), zakręcając jednocześnie mocno drugiemi nakrętkami. Połączenie 4-5 6 należy prowadzić górą t. zn. wygiąć drut w kształcie schodka, aby możli-

wie daleko przechodził od 2-3. Pozostałe druty będą biegły płasko tuż przy deseczce.

Aby połączyć jedno gniazdko z drugiem, postępujemy w następujący sposób: chwytamy koniec drutu w okrągłe obcążki i okręcamy nim jedną szczękę obcążków. W ten sposób powstanie uszko czyli pętelka, przez którą musi przejść gniazdko od strony gwintowanej.

Następnie odmierzamy na drucie odległość do następnego gniazdka, i znów zakręcamy pętelkę, którą wkładamy na sąsiednie gniazdko, zakręcając mocno nakrętkami. Zagięcie pętelki powinno być w zgodnym kierunku z kierunkiem zakręcania nakrętek, w przeciwnym bowiem razie przy zakręcaniu nakrętki pętelka odegnie się.

Połączenia 1-2-3 i 4-5-6 powinny być wykonane jednym drutem t. zn., nałożywszy uszko na gniazdko 1 i zakręciwszy je nakrętką, prowadzimy drut do gniazdka 2, tutaj robimy uszko i następnie doprowadzamy drut do gniazdka 3; po zakręceniu trzeciego uszka resztę drutu odcinamy.



Rys. 2.
Szkielet cewki. Wszystkie wymiary w milimetrach.

Po sprawdzeniu z rys. 1, czy połączenia zostały wykonane prawidłowo, przechodzimy do nawijania cewek.

Na preszpanie rysujemy dwa koła współśrodkowe o średnicach 12 cm. i 4,8 cm. Obwód większego koła dzielimy na nieparzystą liczbę części (np. 7 lub 9) i rysujemy promienie. Z jednej strony dorysowujemy dłuższy występ *F*, nawprost krótszy *L* i wycinamy ostrym scyzorykiem lub nożyczkami (patrz rys. 2). Teraz wzdłuż promieni wycinamy paski szerokości 3 mm. Takich szkieletów będziemy potrzebowali dwie sztuki, które po wycięciu powlekamy szellakiem.

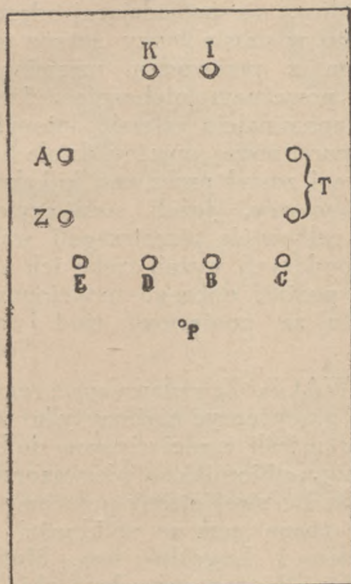
Gdy szellak wyschnie, przechodzimy do nawijania drutu. Naprzeciwko krótszego występu tuż pod wycięciem (licząc od środka szkieletu) wiercimy mały otworek *H*, przez który przeciągamy drut około 12 cm. Przycisnąwszy wielkim palcem lewej ręki przeciągnięty kawałek drutu, zaczynamy nawijać go na szkielet, przeplatając przez wycięcia, tak jak to się robi przy wyplataniu koszyków. Drut musi być dobrze naciągnięty i bardzo ściśle przeplatany, gdyż w przeciwnym razie potrzebna ilość zwojów nie pomieści się na szkielecie.

Dla odbioru obecnej stacji warszawskiej musimy nawinąć dwie cewki: jedna 68 zwojów, druga 74 zwoje. (Zwojem nazywamy jedno oprowadzenie dookoła szkieletu). Ponieważ zwoje w cewce koszykowej krzyżują się, należy liczyć je z jednej strony.

Gdy cewka ma z jednej strony 34 zw., to nawijanie skończone. (Druga będzie miała odpowiednio po jednej stronie 37 zw.). Aby drut nie rozplótł się, należy tuż przy małym występie wywiercić 2 otworki *M* i *N* i przez nie przeciągnąć koniec i początek uzwojenia cewki. W celu lepszego zabezpieczenia cewek przed rozpleceniem powlekamy je jeszcze raz szellakiem.

Po wyschnięciu cewek pozostawiamy końce drutów długości około 8 cm, zeskrobujemy na końcach izolację i zakręcamy wtyczki. Teraz wiercimy otwory w mniejszych występach

cewek (*W*, patrz rys. 2) i przecisnąwszy przez te otwory śrubkę do drzewa, przykręcamy je na zewnętrznej stronie pudełka w punkcie *P* (patrz rys. 3). Wobec tego cewki będą mogły poruszać się zupełnie lekko na wspólnej osi. Wtyczki uzwojenia lewej cewki wkładamy do gniazdek *E* i *D*, zaś prawej—do gniazdek *B* i *C*. Do gniazdek *K* i *I* wstawiamy detektor („Daki“,



Rys. 3.
Górna strona pudełka.

„Wabo“ lub jakiś krajowy z wtyczkamj) tak, by kryształek znalazł się przy gniazdku *K* (patrz rys. 3). Do gniazdka *A* dołączamy antenę, do *Z*— uziemienie, do T—słuchawki. Nastawiamy teraz igłę detektora na kryształek i posuwamy jedną cewką w prawo lub w lewo, trzymając cewki za większe występy. Jeżeli w tym wypadku nic nie usłyszymy, należy jedną tylko cewkę przewrócić na drugą stronę, a skutek będzie niezawodny. Przy nasuwaniu cewek jedną na drugą siła głosu będzie się wzmagała.

Należy znaleźć takie położenie, przy którem słyszymy najlepiej. Możemy odszukać najczulsze miejsce na kryształku przez przesunięcie igły detektora. Igła powinna lekko dotykać kryształka, a nie naciskać.

O antenie i uziemieniu pisaliśmy już w Nr. 5 i 6 rok II M. P.; wspomnę tutaj tylko, iż w odległości kilkunastu kilometrów od Warszawy jest pożądana antena zewnętrzna jednożyłowa o długości 60 mtr. wraz z odprowadzeniem, lub dwużyłowa (każda żyła po 25 mtr.) Po skończonej audycji należy antenę połączyć z uziemieniem!

Jeżeli aparat został zainstalowany w Warszawie, to wystarcza antena zastępcza np.: łóżko metalowe, struny pianina, sieć oświetleniowa i t.p. Z tą ostatnią konieczne jest zachowanie pewnej ostrożności, a mianowicie: do kontaktu oświetleniowego wstawiamy specjalny kondensator do sieci oświetleniowej na 300 cm. (można go dostać w każdym sklepie z przyborami radjowemi), a drugi jego koniec łączymy drutem z gniazdkiem *A* aparatu. O ile kondensator będzie gorszego gatunku, to może nastąpić krótkie spięcie z ziemią, a przy tem słuchawki mogą ulec spaleniu i słuchacz dozna silnego wstrząsu, b a r d z o niebezpiecznego. Mniej obeznanym tego rodzaju anteną posługiwać się nie radzę. Żadnego zato niebezpieczeństwa nie przedstawia użycie łóżka lub pianina zamiast anteny. W tym wypadku okręcamy mocno gołym drutem nogę lub poręcz łóżka, a drugi koniec łączymy z gniazdkiem *A*. (Farbę należy zeskrobać w miejscu połączenia drutu z łóżkiem). W pianinie lub fortepianie drut okręcamy koło kołków, służących do strojenia.

Pomówimy teraz o bardzo ważnej części aparatu, mianowicie o uziemieniu. Przewód, łączący aparat (gniazdko *Z*) z ziemią, powinien być możliwie bardzo gruby! Najlepiej, gdy użyjemy drutu miedzianego o przekroju grubszym od drutu antenowego. W każdym sklepie z przyborami elektrotechnicznemi możemy nabyć czarnego przewodnika o przekroju 2,5 mm^2. (Można użyć z takim samym wynikiem drutu gołego o tymże przekroju). Jeżeli w mieszkaniu znajdują się rury wodo-

ciągowe lub gazowe, to zeskrobując farbę i rdzę (aż do zupełnego połysku) z rury, okręcamy ją tym drutem dobrze oczyszczonym (z przewodnika zeskrobać izolację!) trzema lub czterema skrętami, tak by drut silnie przylegał do miejsca oczyszczonego. Teraz smarujemy te miejsca „Tinolem" (specjalny stop do lutowania; nabyć można w większych sklepach elektrotechnicznych) i dotykamy gorącą kolbą. Lut stopi się i mocno przylgnie do rury.

O ile ktoś nie potrafiłby poradzić sobie z lutowaniem, może użyć specjalnego paska uziemiającego, który zakręca się dookoła rury, a do niego przyczepia się drut. W tym ostatnim wypadku należy często sprawdzać połączenie drutu z rurą, gdyż wilgoć i wszelkiego rodzaju zanieczyszczenia uniemożliwiają dobry styk przewodu uziemiającego z rurą.

Jeżeli w mieszkaniu niema rur wodociągowych lub gazowych, należy uziemienie wykonać w następujący sposób. Naprzeciwko okna, przy którem znajduje się wejście anteny do mieszkania, kopiemy dół, głębokości 2 mtr. Teraz musimy postarać się o kawałek blachy cynkowej o powierzchni conajmniej 0,5 mtr^2. Do tej blachy należy przylutować gruby drut o przekroju 2,5 mm ^{2} (taki sam, jakiego używa się do połączeń z rurą wodociągową, patrz wyżej). Na dno dołu sypiemy kubełek koksu lub węgla drzewnego, następnie kładziemy na płask blachę i znów kubełek koksu lub węgla. To wszystko polewamy wodą i dół zasypujemy. W futrynie wiercimy otwór, przez który przeciągamy drut przylutowany do blachy i następnie łączymy z aparatem.

W wypadku, gdy posiadamy antenę zewnętrzną, powinna ona być uziemiona w czasie niefunkcjonowania aparatu. Jeżeli dom, w którym został zainstalowany aparat radjowy, znajduje się w okolicy, nie posiadającej odgromników, to w czasie burzy antena niepołączona z przewodem uziemiającym, grozi poważnem niebezpieczeństwem. Nie zapominajcie uziemić anteny!

Aparat wyżej opisany działa bardzo dobrze i został przez nas kilkakrotnie wypróbowany. Jeżeli nasi czytelnicy będą całkowicie przestrzegali wskazówek podanych wyżej, czeka ich nagroda (w postaci dobrego funkcjonowania aparatu) za poniesiony trud i stratę czasu.

Szkot

UWAGA! Za zadawalające rezultaty naszej pracy ręczyć możemy tylko w tym wypadku, jeśli części używane do budowy radjoodbiornika są pierwszorzędnej jakości. Ze swej strony polecamy osobiście znane nam ze solidności firmy **Zygadło i Legotke inż., Marszałkowska 72 oraz inż. Trojecki, Królewska 43. Firma „Zygadło i Legotke"** przyrzekła łaskawie służyć bezpłatną poradą naszym czytelnikom, powołującym się na pismo „M ó j P r z y j a c i e l".

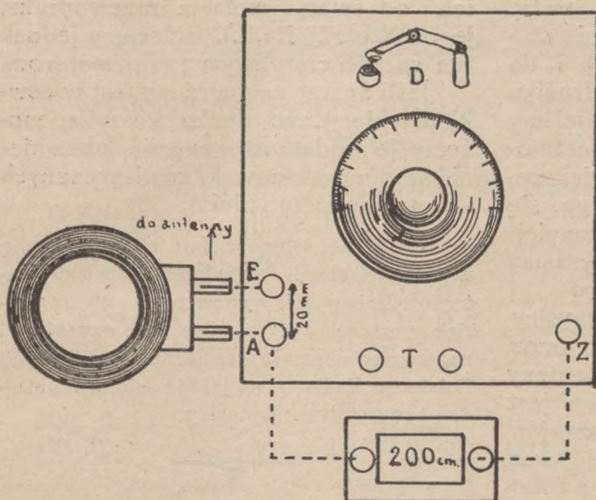
Przestrojenie aparatów detektorowych na długofalową stację warszawską.

Powiększenie zasięgu długości fali stacji nadawczej w Warszawie z 400 m na 980 m wprawia wielu radjoamatorów w nielada kłopot. Cóż należy uczynić, aby móc jednak dostroić się do nowej fali i nie przerywać sobie tak miłej rozrywki, jaką darzy nas codziennie studio przy ulicy Kredytowej?

Istnieje po temu kilka sposobów, których rozpatrzeniem zajmiemy się na tem miejscu. Przez zwiększenie samoindukcji lub pojemności obwodu osiągamy żądaną zmianę. Gdy odbiornik posiada kondensator i cewkę zamienną, osadzoną w gniazdkach nazewnątrz aparatu, należy zastąpić ją inną, o ilości zwojów blisko trzykrotnie przewyższającą ilość poprzednią t. zn. np.: z 50 zwojów na 150 zw.

Gdy nasz aparat galenowy pozba-

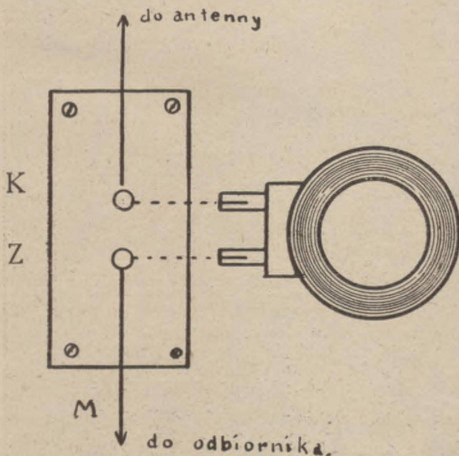
wiony jest kondensatora, a pracuje tylko na cewkach płaskich, ward omtrze lub cewce suwakowej, można jgeo o-



Rys. 1.

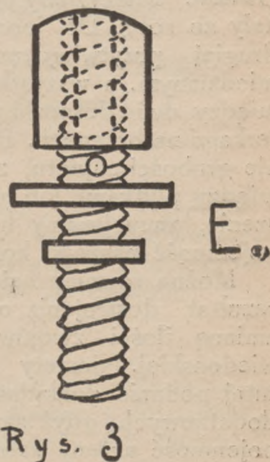
stroić zapomocą cewki od 100 do 150 zw. (gołej lub w cokole).

W tym celu umieszczamy dodatkowy zacisk ebonitowy (E) obok za-



Rys. 2.

cisku antenowego w aparacie (A), następnie włączamy cewkę tak, aby jeden z jej końców znalazł się w poprzednim zacisku antenowym, a drugi w świeżo zmontowanym. Teraz do tego ostatniego włączamy również antenę i apa-



Rys. 3

rat gotów. (Rys. 1). Wystarczy dostroić go suwakiem lub przesunięciem gałki warjometru. Jeśli poprzedni zacisk (A) był gniazdkiem do wtyczek, należy go również zastąpić zaciskiem z główką ebonitową (Rys. 3).

Może się zdarzyć, że temu urządzeniu stoi na przeszkodzie brak miejsca w aparacie, wtedy montaż dodatkowy wykonamy na deseczce, zaopatrzonej w dwa zaciski, którą zawieszamy na ścianie. Koniec anteny, który uprzednio szedł do aparatu, włączamy wraz z jednym końcem cewki do górnego zacisku *K* (rys. 2), dolny zaś *Z* łączymy z drugim końcem cewki, z izolowanem odprowadzeniem *M* i z zaciskiem *A* aparatu. Sposób ten nadaje się do wszystkich odbiorników kryształowych.

Zaznaczyliśmy na początku, że można również uskutecznić dostrój przez włączenie pojemności dodatkowej czyli małego kondensatora około 200—250 cm., stałego, a lepiej zmiennego, który włączamy w aparat tak, aby jedna z jego nakrętek była połączona z ziemią, a druga z anteną (kreskowane połączenie na rys. 1). Kondensator taki

łatwo wykonać samemu. Bierzemy dwa kawałki cynfolji o wymiarach prostokąta 6 × 3 cm i przedzielamy je papierem parafinowanym lub miką. Uważać należy, aby płytki się nie stykały ze sobą. Do jednej z nich i do drugiej przytwierdzamy po druciku miedzianym. a wszystko to kładziemy między dwie deseczki przykręcone muterkami na brzegach. Przez powiększenie grubości papieru, znajdującego się między płytkami, lub przez jego zmniejszenie, zmniejszamy lub powiększamy pojemność naszego kondensatora.

Można również osiągnąć pomyślny rezultat dostrojenia odbiornika przez zmianę ilości zwojów t. zw. anteny wiedeńskiej. Niestety niemożliwe jest tutaj podanie dokładnej liczby zwojów dodatkowych, gdyż samoindukcja oraz pojemność anteny zależą ściśle od warunków lokalnych, w jakich się odbywa odbiór (wielkość pokoju, piętro, odległość między zwojami, oddalenie ich od ścian, izolacja przewodnika, jego przekrój i t.d.). Polecamy jednak ten sposób cierpliwym radjoamatorom.

Jeśli aparat zaopatrzony jest w cewki płaskie, t. zw. denka koszyka, możemy je dodatkowo uzwoić lubzamienić wedługwskazówek, zamieszczonych w artykule poprzednim.

UWAGA. Długość fali 980 m, jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, nie jest ostateczna. Zmiany jej, wahające się w niewielkich granicach, są powodowane czynnikami natury zewnętrznej, niezależnemi od dyrekcji Polskiego Radja, a na jakość odbioru posiadać będą wpływ minimalny.

B. Pete.



Doniosły wynalazek w lotnictwie.

Gdy w aeroplanie, wskutek uszkodzenia maszyny, motor przestaje działać, pilot usiłuje wylądować tak, żeby nie uszkodzić aparatu i nie narażać życia pasażerów. Kiedy jednak aparat traci ważną część, np. skrzydło lub ster — wówczas zaczyna gwałtownie spadać w dół i wreszcie grzebie pod swemi szczątkami pasażerów — jeśli nie jest zaopatrzony w nowoczesny spadochron, którego model widzimy na naszej fotografji.



Jest to wynalazek amerykańskiego inżyniera Smitha. Oddawna już poszczególni lotnicy zaopatrują się w spadochrony — więc czemu nie skonstruować olbrzymiego spadochronu, który umożliwi całemu aeroplanowi bezpieczne lądowanie i ocali życie pasażerów i sam aparat? Zabrał się więc do zbudowania aeroplanu ze spadochronem-olbrzymem i w końcu ubiegłego roku wykonał próbny lot. Gdy aparat wznosił się do pewnej wysokości, zatrzymano motor. Aeroplan zaczął spadać; w tejże chwili pilot pociągnął za linę, która rozwinęła spadochron; aeroplan zatrzymał się w powietrzu, poczem powoli zaczął się obniżać i wylądował bez uszkodzenia.

SPORT

„W Polsce grają bardzo słabo w piłkę nożną" mówi pan Stefan Domański, najlepszy bramkarz Polski.

Zgodnie z zapowiedzią prospektu „Mojego Przyjaciela", że w dziale sportowym naszego pisma będziemy zamieszczać m. in. „szczegóły z życia sławnych zawodników", współpracownik nasz zwrócił się do pana Stefana Domańskiego z prośbą o udzielenie wywiadu.

Pan Stefan Domański, ten popularny „Stefek", jest studentem Wyższej Szkoły Handlowej (widzieliśmy go wszak w bramce tej uczelni na zawodach podczas Tygodnia Akademika). Znakomitego bramkarza odwiedzamy w mieszkaniu prywatnem. Na stole w ładnym saloniku roczniki pism sportowych, krajowych i zagranicznych i trzy wielkie albumy z fotografjami z meczów, w których pan Domański brał udział.



„Stefek", dowiedziawszy się, że chodzi o „zrobienie wywiadu", wstaje od pianina, na którem przed chwilą jeszcze grał Chopina (p. Stefan jest podobno najlepszym muzykiem wśród bramkarzy), i rozpoczynamy rozmowę.

— Dawno p. zajmuje się sportem?

— Już 10 lat.

— I zawsze tylko piłką nożną?

— Głównie — tak. Poza tem oczywiście lekka atletyka, jako dziedzina sportu ściśle z footballem związana, a zimą — saneczki, łyżwy i hockey. Nie staję do zawodów w tych gałęziach sportu, gdyż moja specjalność to „brama".

— W jakich drużynach p. grywał?

— W roku 1917, mając lat czternaście, wstąpiłem do uczniowskiej drużyny „Slavia"; potem grałem w pierwszych juniorach „Polonji" do r. 1920. W roku 1920 grałem już w pierwszej drużynie „Polonji". Od założenia „Warszawianki" (w 1921 r.) stale grywam w tej drużynie.

—Ile meczów grał pan już w „Warszawiance"?

— Sto sześćdziesiąt ośm.

— A ile razy grał pan w reprezentacji Warszawy?

— Wszystkiego siedemnaście razy. Z nich tylko ośm wygranych.

— A w reprezentacji Polski?

— Pięć razy. Z Estonją, Finlandją, Turcją, Ameryką i Czechosłowacją. Z tych pięciu Polska przegrała tylko z Ameryką i Czechami.

— Jakie są najpamiętniejsze mecze szanownego pana?

— Z D. F. C. „Troppan“ w Warszawie, z R. F. K. „Ryga“ (w Rydze). i z Macedońskim Team'em „Todor Aleksandrow“ w Sofji.

— Dlaczego te mecze są najpamiętniejsze dla pana?

— Mecz z „Troppan'em“ uważam za swój najlepszy mecz. W Rydze była największa „rzeźnia“, najbrutalniejsza gra, jaką pamiętam. Z Macedońskim Team'em mieliśmy najlepszy rezultat wyjazdowy. Mecz był remisowy (3:3), ale „Todor Aleksandrow“ jest najlepszą drużyną w Bułgarji.

— Jakie są według pana zalety dobrego footballisty?

— Przedewszystkiem — wychowanie sportowe t. j. karność, umiejętne zachowanie się gracza na boisku, posłuszeństwo sędziemu, czyli jednem słowem — dżentelmeństwo sportowe.

Piękny przykład tego dżentelmeństwa mieliśmy na meczu w Warnie (Bułgarja). Kapitan warneńskiej drużyny prosił nas, abyśmy byli łaskawi wybrać stronę boiska i abyśmy zaczęli mecz. (Zwykle jedna drużyna wybiera boisko, a druga rozpoczyna mecz).

— Jak panów przyjmowano zagranicą?

— Na północy—zimno, ale grzecznie. Zato w Bułgarji przyjmowano nas z niebywałym entuzjazmem. Na dworcu oczekiwało około dwóch tysięcy ludzi. Orkiestra przywitała nas hymnem narodowym. Dworzec ustrojony był kwiatami. Witało nas siedmiu mówców. Na dworcu był obecny konsul Polski, hr. Łubieński, i sekretarz, poselstwa Zambrzuski, Polak dawno osiadły w Bułgarji, który starał się o jak najdalej idące ułatwienia dla naszej drużyny.

— Jakie są pana zapatrywania na sprawę zawodowstwa w piłkarstwie?

— Jawnego zawodowstwa u nas niema, ale istnieje ukryte, zamaskowane. Z tem trzeba bezwzględnie walczyć, gdyż obniża poziom moralny graczy.

— A pański pogląd na Ligę Piłkarską?

— Jestem zwolennikiem Ligi. Gdy Liga zacznie sprowadzać najlepsze drużyny zagraniczne, poprawi to opłakany stan kas poszczególnych drużyn, a głównie podniesie ich poziom sportowy, gdyż będą grać z doskonałymi współzawodnikami. — Najkategoryczniej prostuję fakt, jakoby Liga dążyła do zawodowstwa. Sprawa Ligi jest obecnie w zawieszeniu i rozstrzygnięcia jej nie można przewidzieć.

— Jaką drużynę uważa pan za najlepszą w Polsce?

— Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. W Polsce niema drużyny jednolitej, takiej, w którejby wszyscy gracze stali na jednym poziomie; poziom drużyn i poszczególnych graczy jest chwiejny i są możliwe rozmaite „fuksy“ na boisku.

„Cracovia“ bezwątpienia ma najlepszy styl gry, „Pogoń“, mistrz Polski, ma grę „twardą“, bezwzględną. „Warszawianka“ jest drużyną najszybszą, najbardziej lekkoatletycznie wyszkoloną.

— Jacy są według pana najlepsi gracze w Polsce?

— Wacek Kuchar, Bułanow i Kałuża — to „pierwsza klasa“ gracze.

— A zagraniczni?

— Mogę mówić tylko o tych, z którymi grałem. Manołow (Team Bułgarski), Schaffer i Conrad (dawni „Amateure“) i Eisenhoffer, Hausler, Fabian z „Hakoahu“.

— Jaki jest pański pogląd na piłkę nożną w Polsce?

— W Polsce grają w football bardzo słabo i dlatego są częste wypadki na boisku. (Mógłbym o tem coś powiedzieć — mówi pan Domański, pokazując na skrzywiony ze złamania nos i znacząco masując nogi). Za mały nacisk kładzie się u nas na stronę techniczną gry, a celem jej jest „zrobienie bramki“; gracz z takiej gry ma małą

przyjemność. Zmieni się to z chwilą, gdy uzyskamy dobrych trenerów i gdy nastąpi dokładne wyszkolenie graczy, gdy wszyscy będą sobie zdawali spra wę z tego, że w grze chodzi głównie o wyczyn sportowy, a nie o bezwzględne zwycięstwo.

— Czy młodzież winna grać w football?

— Tak, jak to się robi obecnie — bezwzględnie nie. Gra młodzieży, to kopanina, a nie zabawa sportowa. I młodzież winna uznać zasadę, że o dobroci drużyny nie świadczy tyle rezultat, co jakość techniczna gry.

— Czy piłka ręczna nie zwycięży footballu?

— Sądzę, że nie. Piłka ręczna daje za mało emocji, gra jest znacznie łatwiejsza, nieskomplikowana.

— A rugby?

— Nie znam i nie chcę znać tej gry — mówi pan Domański.

— Czy pan osobiście jest zadowolony z footballu?

— Mam piłce nożnej wiele do zawdzięczenia. Pomijając obrażenia na meczach, sportsmen nadzwyczaj się hartuje i nie ulega żadnym chorobom wewnętrznym. Ja osobiście nie pamiętam czasu, ażebym kiedyś był przeziębiony, miał anginę, influenzę, czy coś w tym rodzaju. Piłka nożna wyrabia siłę woli, szybką orjentację, jako gra zbiorowa jest dobrą szkołą życia społecznego. Mylnem jest mniemanie, że piłka nożna rozwija tylko nogi; w treningach piłkarskich główny nacisk kładzie się na lekką atletykę, a ona rozwija ciało wszechstronnie.

Zresztą, sport nietylko rozwija fizycznie, ale i umysłowo: na boisku trzeba grać nietylko „główką“, ale i głową.

— Kiedy ujrzymy pana na boisku?

— Obecnie sezon jest martwy. Ale już w końcu lutego, a najpóźniej w początku marca, będziemy grali pierwszy mecz.

— Czy „Warszawianka“ ma zamiar wyjechać zagranicę?

— Tak. Pertraktujemy z klubami włoskiemi. Pertraktacje te są na ukończeniu, a jesienią wyjedziemy na tournée po Włoszech. Mamy grać w Rzymie, Medjolanie, Pizie i innych miastach. Ogółem siedem matchów.

— Sądzę, że już dosyć pana wynudziłem?

— Ależ nie. Wywiad ten ukaże się wszak w piśmie dla młodzieży, a młodzież jest najsympatyczniejszą publicznością na zawodach. Tak jest nietylko w Polsce, ale i w innych krajach.

Wychodzimy razem z panem Domańskim. Na ulicy wymija nas dwóch chłopców.

— Patrz, Józiek, — Domański — mówi jeden z nich. Chłopcy uśmiechają się do „Stefka“, kłaniają mu się.

— To się nazywa popularność sportowa — mówi z uśmiechem pan Domański.



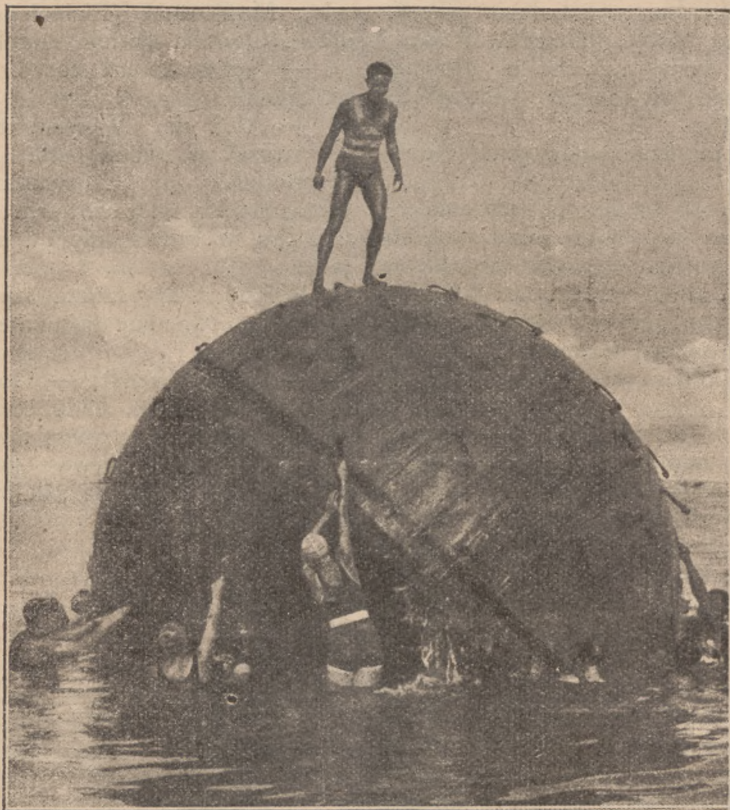
Człowiek — ptak.

Tytuł mistrza Zakopanego w skokach narciarskich zdobył w tym roku Andrzej Krzeptowski.

Celem doskonalenia się człowieka jest wszechstronny rozwój jego muskułów, zmysłów, zdolności umysłowych i uczuć.

PRUS — „Szkic programu.“

Nowy sport wodny.



Do wody wrzuca się olbrzymią piłkę o średnicy 4,5 m. Piłka jest w połowie czerwona, w połowie zaś zielona. Gracze podzieleni są na 2 partje. Każda dąży do tego, aby jej barwa znalazła się na powierzchni wody. Gra ta jest obecnie bardzo popularna zagranicą.

KRONIKA SPORTOWA.

Styczeń upłynął pod znakiem międzynarodowych zawodów hokejowych, w których brała też udział nasza reprezentacja. W skład drużyny polskiej weszli m in. znani w świecie piłkarskim — Tupalski (A. Z. S.), Kuchar (Pogoń) i Krygier (Polonja). Najbardziej zaszczytne dla nas — są spotkania z Belgją (remis) i Węgrami (6:1 na naszą korzyść). W wyniku Polska osiągnęła 4 miejsce!

Z zimowych sportów wspomnieć też wypada o zawodach łyżwiarskich o mistrzostwo Polski. Pierwsze miejsce dzierży tu wszechstronny sportowiec — Wacek Kuchar.

Piłka nożna jest jeszcze w letargu zimowym. Tylko przy „zielonym stoliku" rozprawia się o niej żywo. Wyłoniła się sprawa reorganizacji dotychczasowego systemu rozgrywek o mistrzostwo przez stworzenie „Ligi piłkarskiej", w skład której weszłyby przedniejsze kluby dotychczasowych okręgów. Rozstrzygnięcie tej sprawy pozostawiono ogólnemu zebraniu P. Z. P. N, które odbędzie się w początkach lutego. O wynikach nie omieszkamy naszych czytelników zawiadomić.

Z obowiązku kronikarskiego wspomnieć należy o coraz bardziej rozpowszechniającym się ping—pongu (domowy tennis), który, zdaniem naszem, niewłaściwie zalicza się do sportu. Czynne sekcje ping—pongu mają kluby warszawskie: Warszawianka, W. K. S., Stella i Makabi.

Ograniczamy się w bieżącym numerze tylko do ogólnych wiadomości, pozostawiając dokładne omówienie poszczególnych dziedzin do numeru następnego.

TEATR i KINO

Z tajemnic srebrnego ekranu.

Świat filmu — królestwo bajki — kraina urzeczywistniania wszelkich niemożliwości, pociąga wszystkich i zaciekawia.

Nieraz interesuje nas najbardziej zagadnienie, w jaki sposób przeprowadzono technicznie jakąś rzecz, napozór nieprawdopodobną, niemożliwą do wykonania, lub też niezwykle trudną i, zdawałoby się, niesłychanie dla aktorów niebezpieczną.

Gdy widzimy np., jak artysta spada wraz z pędzącem autem w przepaść, głowimy się nad przyczyną, dla której nie waha on się narażać życia, czy żeber. Nawet przy zachowaniu wszelkich możliwych ostrożności, łatwo tu przecież o nieszczęśliwy wypadek, zwłaszcza, że eksperyment taki musi być podczas próby powtarzany kilkakrotnie.

Naturalnie trudno, by aktor przy scenach, zbyt wyraźnie graniczących z niemożliwością, narażał życie.

Tu zazwyczaj przychodzą aktorowi z pomocą t. zw. tricki.

Oto Harold Lloyd pnie się na szczyt popularnego w New-Yorku „drapacza chmur". Zwisa nad szaloną wysokością, gdy raz po raz niespokojnie ugina się pod nim przygodne oparcie.

Z zapartym oddechem śledzimy stylizowany dla koniecznego efektu wysiłek aktora. Ze zdumieniem i zgrozą spoglądamy na ruchliwą ulicę, zapełnioną szeregami maleńkich aut i mniejszych jeszcze z tej wysokości ludzi...

Aby otrzymać tego rodzaju efektowną scenę, operator filmowy fotografuje aparatem kinematograficznym (technicznie mówi się „nakręca") owe karkołomne ewolucje artysty, dokonywane na wybranej, czy też specjalnie sporządzonej budowli, której niskość i liczne zabezpieczenia wykluczają możliwość niebezpieczeństwa.

Teraz, kiedy bez narażenia życia wykonał aktor najrozmaitsze ewolucje, kiedy „ocalił" się już kilkakrotnie dzięki zczepionej z jakimś hakiem marynarce, pierwsza część pracy jest ukończona.

Następnie operator z wysokości autentycznego „drapacza chmur" „nakręca" widok ruchliwej ulicy.

Misterne ułożenie obu poszczególnych zdjęć wytwarza zupełne złudzenie naturalności.

Podobne ustawienia posiadają w kinematografji szerokie zastosowanie.

Przed niespełna rokiem widzieliśmy w Warszawie „Małego Lorda" z Mary Pickford, która kreowała jednocześnie dwie role: matki i syna. Zdjęcia były zestawiane. (W niektórych momentach, np. przy obejmowaniu się, kiedy zestawienie było niemożliwe do wykonania, najprawdopodobniej posługiwano się odpowiednio ucharakteryzowanym sobowtórem).

Przejdźmy do innego rodzaju tricków.

Dziecko, siedzące na szynach, bawi się czemś, nie rozumiejąc grozy rosnącego w oddali na torze punkciku.

Nadciągający z szaloną, iście kinematograficzną, szybkością pociąg wypada i tuż, tuż przy igrającem kamyczkami dziecku zatrzymuje się.

— Pięknie — rzeknie sobie niejeden widz — któż jednak zaofiarował dziecko na tak, więcej niżeli ryzykowny eksperyment? Cóż stałoby się, gdyby ów pędzący pociąg o ułamek sekundy później zahamowano?...

Otóż w jaki sposób zostaje nagrana tego rodzaju scena?

Ustawia się stojącą o cztery—pięć metrów od dziecka lokomotywę, poczem pociąg w najszybszym pędzie cofa się.

„Nakręcając“ tę scenę, operator obraca korbę aparatu również w przeciwnym kierunku.

Jakiż otrzymamy rezultat?

Wziąwszy do rąk naświetloną taśmę filmową, ujrzymy leżące na pierwszym planie (pierwszy plan — tuż przy aparacie) dziecko, zdaleka zaś rosnącą, niewyraźną plamę. Pociąg będzie coraz bliżej, coraz bliżej, aż wreszcie zatrzyma się tak blisko dziecka, jak go uprzednio ustawiono.

Wynik jest zupełnie zrozumiały.

Zważywszy, iż podczas cofania się pociągu naświetlaliśmy światłoczułe zwoje taśmy filmowej w kierunku odwrotnym, pojmiemy, że pierwszy moment (dziecko i lokomotywa) znajdzie się na końcu wstęgi filmowej, końcowy zaś (bawiące się dziecko i rosnąca plama zbliżającego się stalowego potwora) zaraz na początku.

W identyczny prawie sposób otrzymujemy innego rodzaju ciekawe efekty. Oto jeden z nich.

Kryształowy puhar, wypadłszy z rąk fakira, tłucze się na niezliczone cząsteczki, które w oczach naszych schodzą się i tworzą napowrót uprzedni kształt pięknej czary, ba! kielich wraca do wzniesionej ręki. Cud, nieprawda?

Scena ta — napozór niewykonalna — w praktyce nie przysparza żadnych prawie trudności.

Otóż rola aktora kończy się tu na podniesieniu puharu w górę i na upuszczeniu go na ziemię.

Główna część pracy spoczywa teraz w rękach operatora, który skwapliwie „nakręca“ scenkę tę, obracając i tym razem korbę w kierunku przeciwnym. Znowu więc początkowe momenty (wzniesienie kielicha) znajdą się na końcu, ostatnie zaś (rozbicie się kielicha) tuż na początku. Dzięki nader szybkiemu obracaniu korby objektyw podchwyci dokładnie momenty rozpryskiwania się szkła, które, ukazywane w porządku odwrotnym, dadzą nam obraz schodzenia się i zespalania.

Oto cała sztuka z „tajemniczym puharem“.

Często spotykamy na filmie upadki ze znacznej wysokości, z domu, z gór, skał i t. p.

Widzimy danego bohatera, czy bohaterkę na skraju przepaści. Za chwilę dla wzmocnienia wrażeń ekran ukazuje nam bezdenną otchłań. Zkolei oko objektywu przenosi się na bohatera, który stacza się ze zrębu skalnego.

Oczywiście, aktor nie pada w nieistniejącą w danem miejscu przepaść, lecz wprost na przygotowany o metr, dwa metry niżej miękki, wygodny materac. W przepaść natomiast rzuca się lalkę. Na zakończenie widzimy leżącą, przypuśćmy, zabitą, odpowiednio ucharakteryzowaną bohaterkę.

Prócz opisanych mniej lub więcej łatwych do wykonania „tricków“, istnieją całe szeregi coraz to bardziej skomplikowanych scen, do wykonania których, prócz genjalnych nierzadko pomysłów, potrzeba drobnostki... kilkuset tysięcy dolarów.

T r i c k ó w kinematografja posiada mnóstwo. Niezliczone ich rodzaje wytwarzają niemożliwość objęcia całego materjału w jednym, choćby najobszerniejszym, artykule. Zadawalając się narazie okruchami objaśnień, pocieszmy się, zwykli śmiertelnicy, tem, że wybitni nawet fachowcy często nie znają wielu starannie ukrywanych tajemnic Reżysera i Operatora.

M. R.

* * *

Zdarzyło się w pewnem wytworniejszem kinie zagranicą, iż podczas wyświetlania obrazu o treści silnie dramatycznej, kiedy publiczność z zapartym oddechem śledziła fascynującą grę artystów, rozległa się gdzieś z zakątka wielkiej sali niepowstrzymana salwa śmiechu.

Pewna grupka osób śmiała się aż do rozpuku, zdając się nie liczyć z dochodzącemi z zewsząd, oburzonemi głosami protestu

Nastrój, wywołany dramatyczną treścią obrazu, prysł w kulminacyjnym punkcie zaciekawi-nia.

Wśród ogólnego podniecenia przerwano dalsze wyświetlanie obrazu i zajęto się osobami niesfornych widzów, którzy, zdawało się, nietylko sami nie zainteresowali się grą, ale, co gorsza przeszkadzali innym jeszcze.

Okazało się, iż owi roześmiani widzowie najuważniej właśnie śledzili grę.

Byli to upośledzeni przez naturę, głuchoniemi, którzy wpatrzeni z całem zainteresowaniem się w ekran, zauważyli (głuchoniemi rozeznają słowa po ruchu warg, policzków, języka i krtani), iż w momencie śmiertelnej walki nad przepaścią, bohater ginąc woła z tragicznym wyrazem twarzy:

— Ojojoj, żeby mi tylko peruka nie spadła—zaczem dopiero, pchnięty sztyletem, stacza się w ścielącą się pod nim otchłań.

Drobny ten, zakrawający na anegdotkę fakt, podchwycony przez głuchoniemych widzów, nie jest w kinie zjawiskiem nadzwyczajnem, czy też zgoła niespotykanem; artyści filmowi, wierząc, iż słowo nie ma wogóle w kinematografji miejsca, wywnioskowali sobie, iż obarczanie się „jakimś" tekstem jest rzeczą conajmniej zbędną.

Rutynowani aktorzy potrafią grać bez pomocy odpowiedniego tekstu, a nawet często pozwalają sobie, podczas nagrywania zdjęć, na swobodną rozmowę o czemś, nie licującem zupełnie z odtwarzanym momentem, lub też wprost na żarty.

Przegląd miesięczny.

Światowid „Życie za życie"(Lord Jim) i „Cohn & Coogan".

Na tych dwóch filmach sprawdza się raz jeszcze mądre przysłowie: „Chcesz zobaczyć dobry obraz —idź na najmniej reklamowane". Istotnie dwa obrazy, o których z ogłoszeń mało słyszymy — nie chcę używać superlatywów — są naprawdę dobre. Naprzykład „Lord Jim". Powieść Conrada została w doskonały sposób sfilmowana. W przeróbce wydo yto na wierzch i filozofję Conrada i jego zdolność do analizy psychologicznej. Obrazy rozwijają się przed nami niemniej ciekawie, niż karty powieści Korzeniowskiego. Gra artystów — na wysokim poziomie.

* * *

Jackie Coogan chciał pokazać światu, że nie jest już chłopczykiem. Jackie jest w filmie „Cohn & Coogan" małym człowieczkiem do wielkich interesów, do obrotów giełdowych, handlu starzyzną i... kojarzenia małżeństw. A jednak, oceniając grę Coogana, powiemy, że jest rozkosznym *malcem*.. Wprawdzie kadet Szkoły Wojskowej (Jackie wstąpił do Szkoły Wojsk.) obrazi się — ale trudno...

St. S.



Stylowy „Znak Zorry".

Od dobrego filmu, podobnie jak od wykończonego utworu muzycznego, żądamy motywu. Bez niego film w większości wypadków jest mdły, staje się produktem szablonowej roboty.

Takim motywem w *„Znaku Zorry"* jest gra szabli. Dokoła niej toczy się akcja. Szabla w ręku dzielnego Zorry piętnuje krzywdzicieli, broni honoru kobiety. Szabla, wbita w pień drzewa, drżąc naigrywa się z niezdarnych żołdaków gubernatora. Zorro to właściwie — szabla, gdyż bez niej jest on tylko owym wiecznie ziewającym i pokazującym sztuki paniczykiem-niedołęgą. Ta gra została przeprowadzona konsekwentnie. Cóż to była za rozkosz dla szermierzy patrzeć na te wspaniałe „assauts", powtarzające się co chwila! Kto miał szablę choć parę razy w ręku, odczuwał, ile w nich było życia i prawdy.

Walory sportowe Douglasa Fairbanksa jaśnieją tu w całej pełni; nie mówiąc już o szermierce, jego akrobatyczne skoki, brawurowa jazda konna, przy jednoczesnej miękkości i wielkiej plastyce ruchu, są chyba w stanie nawrócić najbardziej zatwardziałego przeciwnika ćwiczeń cielesnych.

Ciekawy scenarjusz dopełnia (w tym wypadku tylko — dopełnia) niezwykle dodatniej całości.

Splendid „Pod narkozą".

Film *„Pod narkozą"* jest kinowem ujęciem marzenia sennego. Ubogi muzyk, pod wpływem narkozy, śni, iż żeni się z córką bogatego paskarza, jedynie poto, by nie być więcej zmuszony do przerabiania lekkich utworów i aby móc wykończyć zaczętą symfonję. Praca mysłu śpiącego, przedstawiona groteskowo, według dość swoistej psychologji, wypadła bardzo oryginalnie. Biedakowi śni się to, czego zawsze na jawie bał się, czego strasznie nie lubił.

Tego rodzaju filmów, jak „Pod narkozą", było dotychczas niewiele. A jednak kino znajduje się w bliskiem pokrewieństwie do iluzji sennej. Tak samo, jak ta ostatnia, urzeczywistnia to, co uważamy za niemożliwe, nielogiczne. Przy kinowem jej przedstawianiu można jak najobficiej czerpać ze skarbnicy środków X Muzy. W filmie „Pod narkozą" posługiwano się wieloma efektami kinowemi (znikanie osób, przenoszenie się krajobrazu, taniec kelnerów i in.) zaniedbano natomiast, z wyjątkiem paru scen, jednego, nie będącego zresztą kinowym, a mianowicie: stylizowanej, ekspresjonistycznej dekoracji. Przedstawianie marzenia sennego na tle realistycznem jest nieodpowiednie; tło ekspresjonistyczne podkreśliłoby nierealność obrazu i przyczyniłoby się do spotęgowania wrażenia. *Cel. Kier.*

OLD MAN

Czarne widmo

NOWELA

Wiedzieliśmy wszyscy, że jeśli Joe Hawkins w wesołem towarzystwie milknie nagle i, zapatrzony w ogień płonący na kominku, ćmi swą krótką fajeczkę—znaczy to, że mu się strasznie chce opowiedzieć jakąś historyjkę. A znał ich niezliczoną ilość i opowiadał po mistrzowsku. Nie należało go jednak nigdy prosić, bo stawał się uparty, jak byk, i trudno było choć słówko z niego wydobyć. Udawaliśmy więc, że nie spostrzegamy jego manewru; odniosło to niebawem pożądany skutek, bo Joe wypalił fajeczkę i przemówił, jakby do siebie samego.

— Kiedy tak człowiek przysłuchuje się rozmowom tych żółtodzióbków, wydaje się, że to nie są maszyniści pierwszej brygady Canadian Pacific'u, a kanceliści z banku, dla których najstraszniejszą rzeczą jest wstrzymanie wypłaty trzynastej pensji. Pewien jestem, że gdyby stary maszynista Faircorn musiał teraz dobierać sobie pomocników, ostatnim etapem jego poszukiwań byłby nasz klub kolejowy.

I Hawkins zmierzył pogardliwym wzrokiem obecnych, oczekując sprzeciwu. Lecz zbyt dobrze znaliśmy starego — musiał trochę pomruczeć — nikt więc nie próbował protestować.

— Tak, tak, panowie — rozpoczął znów Joe — Faircorn umiał dobierać sobie współpracowników. Gardził frantami, umiejącymi ładnie wiązać jedwabne krawaciki i mającymi tuziny dyplomów w kieszeni. Potrzebny mu był taki zuch, któryby umiał pracować bez wytchnienia, nie jeść i nie spać, któryby się nie bał w pełnym biegu zeskoczyć z platformy na tender, chwiejący się wskutek szalonego pędu—jakgdyby urżnął się podwójną porcją whisky. Nie lubię się przechwalać, powiem jednak, że nikt z was nie wytrwałby — jak ja — przez trzy lata w służbie u Faircorna.

Kolej obecna tak jest podobna do starej Canadian Pacific, jak, dajmy na to, auto do mustanga, lub New-York do indyjskiej osady. Budowa linji była tylko co ukończona, ruch dopiero otwarty. A cóż to była za linja? Między stacjami odległość dochodziła do 50 kilometrów; szyny w wielu miejscach ułożone były wprost na ziemi i wiosną woda je podmywała. Przez szerokie rzeki Kolumbji lub przepaście Manitoby przerzucone były drewniane mosty, które jęczały i skrzypiały pod naciskiem ciężkich towarówek. Dla panów z zarządu obojętną było rzeczą, że—wskutek niedostatecznego zabezpieczenia — zdarzała się przeciętnie jedna katastrofa tygodniowo — ich kombinacje finansowe wymagały natychmiastowego otwarcia ruchu.

A i pasażerowie nasi nie byli podobni do tych panów i pań, którzy czują się obecnie w wagonie, jak we własnym salonie. Jeździli przeważnie farmerzy i cowboy'e, których ulubioną rozrywką było strzelanie z okien wagonu, ilekroć na drodze zjawiały się bizony—a było ich pewnie na naszej trasie więcej, niż ludzi. Zdarzało się nieraz, że stary bizon, słysząc zdaleka sapanie lokomotywy, widząc jej czerwone ślepia, wychodził na tor i, zarywszy kopyta w piasek, czekał w pozycji bojowej, gotów wziąć na rogi czarnego przeciwnika. Wiedzieliśmy już, że nie

pomogą tu gwizdki ani wystrzały, to też puszczaliśmy maszynę całą parą, tak, że biedny bizon z zawrotną szybkością przenosił się do lepszego świata; ja zaś na najbliższej stacji miałem dodatkową robotę: zmywać i oczyszczać koła z krwi i strzępów skóry.

Najgorszym odcinkiem na całej linji była droga od rzeki Bobrowej do Karfageny, podówczas jeszcze nędznej mieściny.

Po takiej drodze jechać nawet w biały dzień jest średnią przyjemnością; tembardziej więc w nocy i nadomiar złego podczas takiej psiej pogody, jak wtedy, kiedyśmy prowadzili nasz pośpieszny C 14. Ciemno było... górskie strumienie wydęły się, jak rwące rzeki, i wy tąpiwszy z brzegów, zalały w wielu miejscach tor; przy świetle trzech reflektorów widzieliśmy przed sobą tylko wodę i wodę... płynęliśmy środkiem jeziora raczej, niż po torze.

Gdyby nie to, że unosiły mię marzenia o bliskiem spotkaniu z narzeczoną, czekającą na mnie w Karfage genie, zauważyłbym odrazu dziwne zachowanie się Faircorna. Od samego początku był jakiś nieswój, milczał wciąż, a na pytania odpowiadał niechętnie. Na ostatniej stacji wypił szklankę whisky, co mię bardzo zdziwiło, bo nigdy przedtem nie pił przy pracy. Kiedy pociąg ruszył, stanął przy oknie i, nie odwracając się do mnie wcale, patrzył wciąż na drogę, którą — nawiasem mówiąc — znał, jak swoje pięć palców tak, że mógłby prowadzić pociąg z zawiązanemi oczyma.

Usiadłem na skrzyni, aby skręcić papierosa. Gdy podniosłem głowę, uj rzałem, że Faircorn powoli odwraca się do mnie twarzą... Nigdy nie przypuszczałem, że twarz człowieka może wyrażać tak dziki przestrach. Jego blado - błękitne oczy prawie wyskoczyły z orbit, dolna szczęka zwisła, usta szeroko się rozwarły, i, jak Boga kocham, przysiągłbym, że czapka rusza mu się na głowie. Wszystko to trwało może sekundę... Wnet Faircorn chwycił rękojeść regulatora i szarpnął ku sobie. Wtedy oprzytomniałem:

— Faircorn, na Boga,co się stało?

Pociąg raptownie zmniejszył szybkość i słychać było trzask wagonów i jazgot buforów, obijających się o siebie. Oniemiały Faircorn wciąż tylko ręką wskazywał okno.

Tam... tam... czarna kobieta... bełkotał. Skoczyłem do okna, spojrzałem, i moje pierwotne przypuszczenie, iż Faircorn zwarjował — stało się oczywistem. Burza minęła; latarnie lokomotywy rzucały jaskrawe światło daleko naprzód, na tor zalany ogromnemi kałużami wody. Tor był zupełnie wolny.

Faircorn patrzał na mnie z taką trwogą, że mimowoli uczułem dla niego litość.

Co ci się stało? — spytałem — Jesteś chory? Poco zatrzymałeś pociąg?

— Tak, tak, napewno... coś mi się przywidziało... odpowiedział z widoczną ulgą; lecz widziałem, że przerażenie jeszcze nie znikło z jego pobladłej twarzy. Usadowiłem go wygodnie, a am stanąłem przy regulatorze i ruszyliśmy w dalszą drogę. Stara em się nie męczyć Faircorna zby ecznemi pytaniami i wziąłem na siebie obowiązek oglądania toru. Wysuną em g owę przez okno i poczu em jednocześnie, że Faircorn stoi za mną, wstrząsany gwałtownym dreszczem. W akich wypadkach uspakajająco dzia a na człowieka ostra nagana; w tej samej chwili, gdy chciałem mu jej udziel ć, wydałem wraz z nim okrzyk przerażenia. W odległości kilkudziesięciu me rów od lokomotywy podniosła się błyskawicznie olbrzym a, czarna postać. Głowa jej, owinięta czarnym zawojem, sięga a wierzchołka skał, obok których pę dził nasz pociąg; ogromny, bezksz ta ny tułów zagradzał nam drogę. Tajem ı cza postać czyniła wrażenie płynącej po ziemi i, mimo sza onego pędu pociągu, przestrzeń, dzieląca nas o nie , nie zmniejszała się. Wpatrywa iśmy się w nią, oniemiali ze zgrozy. Nag e zachwia a się, jakgdyby w p zystępie rozpaczy, podniosła wysoko o brzymie